

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

MATKA

Niesmaczna sztuka w dwóch aktach z epilogiem
Poświęcona Mieczysławowi Szpakiewiczowi

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

OSOBY

JANINA WĘGORZEWSKA - matrona lat 54. Chuda, wysoka. Siwe włosy. Ma dwa sposoby mówienia: pospolitawy i istotny - i więcej dystygowany i powierzchowny. Pierwszy (1), drugi (2).

LEON WĘGORZEWSKI - jej syn. Przystojny brunet, lat 30. Ogolony zupełnie.

ZOFIA PLEJTUS - panna, lat 24. Bardzo ładna brunetka.

JÓZEFA BARONÓWNA OBROCK - siostra Janiny. Chuda stara panna, lat 65.

JOACHIM CIEŁĘCIEWICZ- dyrektor teatru. Siwy. Tłusty i czerwony. Broda i wąsy. Lat 60.

APOLINARY PLEJTUS- ojciec Zofii. Siwy. Sumiaste wąsy. Lat 75.

ANTONI MURDEL - BĘSKI- podejrzanе indywiduum. Wąsiki. Bez brody. Brunet lat 35.

LUCYNA BEER - bardzo duża i bardzo piękna dama, lat około 40. Typ semicki.

NIEZNAJOMA MŁODA OSOBA - lat 23. Bardzo piękna i uderzająco podobna do Janiny.

NIEZNAJOMY MŁODY MEŻCZYŻNA - brunet bardzo przystojny z czarnymi wąsami. Głos - bardzo piękny baryton.

GŁOS ZZA SCENY - podobny do głosu Nieznajomego.

ALFRED HR. DE LA TRÉFOUILLE - arystokratyczny bubek, lat 30.

WOJCIECH DE POKORYA - PEŁCZERZEWICZ - typ bogatego ziemianina i żujsera. Lat 32.

SZEŚCIU ROBOTNIKÓW - zawzięte gęby, brodate i ogolone.

DOROTA - służąca, lat 40.

AKT PIERWSZY

W I akcie wszyscy są absolutnie trupio bladzi, bez cienia koloru. Usta czarne, rumieńce czarniawe. Ubrania i dekoracje tylko i jedynie w tonach czarno-białych. Jedną rzeczą kolorowa jest robótka włóczkowa, którą robi Matka - mogą być kolory: niebieski, różowy, żółty i jasnopomarańczowy. W razie pojawienia się kolorów dodawane będą osobne objaśnienia.

Scena przedstawia salonik skombinowany z pokojem jadalnym. Urządzenie dość nędzne. Kanapa ceratowa pod ścianą wprost. Przy kanapie stół, pokryty ceratą w desenie. Za stołem siedzi Matka, sama, i robi robótkę w kolorach: niebieskim, różowym, żółtym i jasnopomarańczowym. Okno na lewo, drzwi na prawo.

MATKA odkładając na chwilę robótkę i wpatrując się przed siebie. Wolno, z jadem (1) Podły wampir. Wdał się w ojca. A może jestem niesprawiedliwa w stosunku do nich obu - może to moja wina, że on jest taki? Czymże ja zasłużyłam na inną egzystencję niż tę, którą mam? Czy dokonałam czegoś nadzwyczajnego? Nic, nic... Jestem pospolita kwoka i nic więcej. Ale za co znowu mam tak strasznie cierpieć? O, Boże! Życie moje przemyka jak sen okropny obok mego drugiego, prawdziwego istnienia, które umarło. Muszę sobie uświadomić wszystko. Może to da mi siłę do przetrzymania jeszcze gorszych rzeczy, które mnie czekają, *(nagle zaczyna wyć dzikim głosem następującą piosenkę)*

Ja byłam kiedyś piękna, młoda,
Ja miałam duszę, a nawet ciało,
Wszystkiego dla mnie było mało.

A teraz nic nie zostało!

Co za szkoda!

Co za szkoda!

(liczy) Dług u księgarza - 150, za książki z biblioteki - 50, pokój - 200. I to wszystko dla tego tak zwanego kształcenia się. Kiedy ja to wszystko wyrobię tymi robótkami? Idiota! Dureń! Niedołęga życiowy! Żeby przynajmniej zabrał się do jakiejś pożyteczniejszej pracy! On nic porządnego nigdy nie napisze. A ja? Malowałam, miałam duży talent do muzyki, pisałam wcale niezłe nowele... To, co mówię, to nie żaden psychiczny ekshibicjonizm - tu nikogo nie ma - na pewno. Ach - ta wieczna samotność. I znikąd słowa pociechy.

GŁOS

Cha, cha, cha, cha!

Matka nie zwraca uwagi na Głos.

MATKA

Nie wiem, czemu przypomniał mi się jego śmiech. Leon ma śmiech podobny, tylko gorszy. Co u tamtego było otwartą zbrodnią, u tego jest małą podłością, czymś obrzydliwym, przydeptanym błyszczącym butem - tylko ogonek tego widać, ale dla mnie to dosyć... Och - jaki on marny jest, ten mój syn! Czemu go nie karmiłam wódką od dziecka? Byłby przynajmniej taki mały jak te pieski japońskie, co od szczeniaka wódkę żłopia - nie byłby tym wstrętnym dorosłym niczym. Jako karzełka, kretyna mogłabym go po prostu kochać. Schamiałam zupełnie - ja, baronówna von Obrock. Ale Józia schamiała także. Może to błaga

z tym Obrockami przez ck - może my jesteśmy po prostu zwykłe obroki, przez małe o i k? A mówią, że dobre rasy nie chamieją nawet w najgorszych warunkach, *(wyje znowu)*

Nade mną zwisa przepiękna maska,
Diabeł bez ciała ciągnie mnie w grzech,
Wszystko od żądy utajonej trzaska.
Miałam kochanków, miałam aż trzech.

Czy mu się przyznać? czy nie? *(Wchodzi Dorota.)* (2) Moja Doroto, proszę nastawić makaron na zimnej wodzie, po włosku, tak jak panicz lubi. Tak dobrze jest być matką i móc dogodzić synkowi. Prawda?

DOROTA

Słucham jaśnie panią. Ja byłam też matką. Ale ja jestem szczęśliwsza - mój syn zginął na wojnie.

MATKA (2)

Precz! Precz! Do makaronu! Ja mego syna uratowałam od wojny, bo on musi zbawić ludzkość całą. On jest wielki myśliciel, a przy tym taki słabowity. Tacy nie mogą ginąć - powinna być specjalna komisja...

DOROTA *przerywa jej*

Znowu jaśnie pani piła za dużo, a pewnie na czczo do tego! Nie mogła to jaśnie pani dotrzymać choć do kolacji?

MATKA (1)

Ach...

Macha ręką ze zniechęceniem.

DOROTA Ja nie mówię przeciw paniczowi. Ale czasem lepiej mieć dobrą pamięć o synu jak mieć go żywym i zdrowym, a nie takim, jakim go się widzieć chciało. Czy ja wiem, jaki by był mój Ferdek teraz - w tej całej maltretacji dzisiejszej? Łobuz był okrutny, a tak wiem przynajmniej, że jest bohater, i tyle.

MATKA (2) *blagalnie*

Moja Doroto, czyż Dorota nie widzi, nie czuje, że ja się męczę, okropnie męczę. Ja nie mogę już pracować, a on - on ciągle zajęty i taki daleki ode mnie, na tyle wyższy ponad wszystko, że ja nie mogę mu przypomnieć, że ja już nie mogę... tymi robótkami - o Boże! Cały dom... Och, moje oczy... ja już ślepnę, mnie doktor zabronił do końca życia robótki... Ach, Doroto, Doroto...

DOROTA

Trzeba było bić, póki był młody. Teraz, w naszych ciężkich czasach, taki się tak zakłamię, tak wyklamię wszystko od samego środka, tak okłamię siebie i rodzoną matkę, tak się wkłamię w siebie i w innych, że go nikt, żadna siła, nie odkłamię. Dokłamać się musi do końca. A pojeden to się jeszcze przekłamię na wylot - i to bywa.

GŁOS

To tak jak ja. Ale ja byłem konsekwentny - ja się stryczka nie bałem. *(śpiewa)*

I pamięć Węgorzewskiego jest święta pośród zbrodniarzy,
I każdy małoletni przestępca o Węgorzewskim tylko marzy.

MATKA (2)

Znowu mi się przypomniał mój mąż. Straszny to był wprost megalomaniak. I Bóg mnie za to pokarał. Bóg megalomaniaków nie lubi. Czy Dorota wie, że mój mąż zginął na szubienicy w Castel del Assucar, w Brazylii, jako bandyta rzeczny. Robił niesłychanie ryzykowne wyprawy... ale mniejsza z tym. Jedno trzeba mu przyznać: miał cudowny baryton, był piękny i odważny, miał fantazję. A nade wszystko nigdy nie miał wyrzutów sumienia. Był prawdziwym rycerzem fortuny - un vrai chevalier de fortune.

DOROTA

No, to pójdę już do kuchni, bo potem będzie się jaśnie pani wstydzić, że się jaśnie pani za wiele zwierzała. Tylko jedno: czy jaśnie pani nie przestałaby tak pić?

MATKA (2)

Nie - pić będę - to jedyna rzecz, która mi jeszcze została. Ale on o tym nie wie. Morfinuję się też, ale stosunkowo rzadko. To procent od zarobku, który wzięłam na siebie. To ostatnie mówię Dorocie w najściślejszej dyskrekcji. I właściwie, gdzieś na dnie, w zachwyty mnie wprowadza to życie bez żadnego sensu - to poświęcenie bez granic w tej pospolitości bez dna, którą tak kocham jednak bez miary. Kocham każdy kącik, każdą drobinę kurzu, każdą nitkę. Ja siebie w tym kocham, moja Doroto. Ja siebie gonię jak własną małą siostrzyczkę wśród klombików rezedy i heliotropu - to nie jest normalna miłość do świata - to ten okropny odwrócony egoizm. On to ma, ale tego nie odwraca. On w głębi duszy nienawidzi wszystkiego, i mnie też. Ja go odkarmiłam, bo z głodu chciał umrzeć, biedaczek. Do siódmego roku życia - cieniutki był jak tyczka. O - taką miał szyjkę, *(pokazuje ręką robiąc kółko z tzw. kciuka i palca wskazującego)* Ja siebie kocham w nim i może więcej go kocham, że jest taka mała świnka - ja go za to żałuję tak, że mi serce pęka. To są sprzeczności uczuć ponad miarę, ponad siły człowieka. On czuje to samo - ja go znam. A od sprzeczności uczuć gorszym jest tylko ich ciężar - jak ktoś na kimś swoim uczuciem zacięży i zegnije go, i zmiążdży w końcu. To jest jego męka - mego syna. Ja to wszystko rozumiem, ale nic ulżyć mu nie jestem w stanie - przeciwnie, mimo woli robię wszystko, aby mu było jeszcze ciężiej. I wiem, że mojej śmierci on nie przetrzyma. A może mi się zdaje? Może nic nie czuje to wyrodne dziecko i ja się męczę na próżno? Ale co to kogo obchodzi? Bo ta cała jego uczoność to błaga, czysty „bajc”, jak Dorota mówi. Tego nie rozumie nikt ani, zdaje się, on sam. On jest takie zero z troszką jakiegoś spryciku... A może go nie rozumiem? Może to wielki mędrzec? Boże jedyny! Jakże pięknie urządzone jest najpodlejsze nawet życie, jak wszędzie widać tę dbałość Twą o Twoją własną chwałę!

Placze.

DOROTA

Ee - urżnęła się dziś jaśnie pani jak nieboskie stworzenie.

Dzwonek, Dorota idzie otworzyć. Wchodzi Leon.

LEON

Co to? Mateczka płacze? Znowu ataczek nerwowy? *(siada przy niej i obejmuje ją)* Moja najdroższa, a tak właśnie dziś chciałem, aby mateczka była zupełnie spokojna i normalna, bez żadnego przeczulenia.

MATKA *chlipie, ale się opanowuje*

Dobrze, dobrze, Leoneczku. Zaraz się uspokoję. Ty wiesz przecie, że ja dla ciebie wszystko, wszystko... Żebyś nie ty, tobym ani chwilki jednej nie żyła... Jestem już u końca moich sił...

LEON

Tak, tak. Ale po co przygniatać mnie zaraz całym ogromem poświęcenia? Zastanów się lepiej, co byś robiła, gdybyś nie była moją matką, gdybyś nie musiała robić tych ciągłych robótek, gdybyś cały dzień mogła robić, co byś chciała. Czy nie robiłabyś tego samego właśnie i z taką [samą] zawziętością? Zamiast tej robótki do sprzedania byłby jakiś ornat, jakieś pończochy dla biednych - czy ja wiem co? No, czyż nieprawda?

MATKA

Prawda, prawda, mój najdroższy. Powiedz mi teraz, czemu chciałeś, abym dziś była spokojna? Czy mam się przygotować na jakąś złą wiadomość?

LEON

Przypuszczam, że nie. Wiesz, jak okropnie rozpraszająco działają na mój umysł te wszystkie tak zwane „moje kobiety”. Postanowiłem zerwać te ostatnie pięć romansów, które mi się tak dziwnie splątały, i ożenić się z kimś zupełnie z innej sfery psychicznej. Węgorzewski, syn nieudanego stolarza i śpiewaka, może sobie pozwolić na pewien mezalians - choćby psychiczny. Inny mezalians trudno by mi było zresztą popełnić. A nawet - jeśli weźmiemy pod uwagę tak zwaną kądziel, a nie tylko miecz - to od biedy i z punktu widzenia Almanachu de Gotha jest to...

MATKA

Leoneczku!

LEON

Ależ ja żartowałem. Nie wiem, czy Obrockowie, przez ck, są tam notowani, i nic mnie to nie obchodzi...

MATKA

Ależ na pewno. Szkoda, że sprzedawałam tę piękną książkę, kiedyś był jeszcze mały. Cześć dla przodków...

LEON *z ironią*

Tak - szczególnie ojciec mój czczony jest w tym domu. Ale wszystko jedno: myślę, że nie będziesz robić niepotrzebnych trudności. Niech się tombak łączy z aliażem tombaku i złota. Ona czeka tu, w tej cukierence na lewo. No, mateczko?

MATKA *po krótkiej pauzie*

Jesteś niesmaczny. Czy... czy jest bogata?

LEON *z wahaniem*

Przed wszystkim jesteśmy niesmaczni wszyscy, i ty też, mamó. Nie, nie jest bogata - właściwie nie ma nic. Jest bardzo źle wychowana, ma fatalne formy towarzyskie i nic nie chce się jej robić. Nawet nie jest w moim typie. Pamiętasz, co mówił nieboszczyk wuj: „Nie żeń się nigdy ze swoim typem - każda ładniejsza dziewczynka na ulicy w tym rodzaju zdystansuje ci żonę.” Ale Zosia jest piękna i, mimo że nie powinno tak być, podoba mi się szalenie. Podobno takie kombinacje są najistotniejsze.

MATKA

I najniebezpieczniejsze...

LEON

Ee - nie mówmy o niebezpieczeństwach tego rodzaju - są gorsze na horyzoncie. Poza tym ona cierpi na zupełne zniechęcenie do życia - dziwne u osoby tak pierwotnej. Wspaniale skombinowałem te właściwości - prawda? Opłaca się w innej sferze. Jest do doskonały antydot na moje intelektualne przemęczenie. Ty myślisz, że ja nic nie robię? Jestem przepracowany - dochodzę do wniosków ostatecznych w mojej pracy. A moja narzeczona ma jedną zaletę: rozumie wszystko, cokolwiek jej mówię lub czytam. Znamy się od kilku dni zaledwie - jeszcze nie eksponowałem przed nią moich idei zasadniczych.

MATKA

Otóż to właśnie: to jest zasadnicze - ja cię nie rozumiem - wiem. Więc jeszcze jeden ciężar zwala się na mnie. Czyż ty nie widzisz, że ja już naprawdę nie mogę ostatkami sił...

LEON

Tylko na rok, a najwyżej na dwa. Wiesz, mam, że mam jakąś nienormalną ambicję na punkcie pieniędzy. Jednej rzeczy nie mógłbym zrobić, to jest ożenić się bogato. Byłbym w stanie o byle głupstwo zerwać z moją żoną na zawsze w takich warunkach.

MATKA

Tak - tej ambicji nie masz tylko w stosunku do mnie. Ze mną o byle co nie zerwiesz.

LEON

Czyż nie jesteś moją matką?

MATKA

Chwilami nie wiem już naprawdę, kim jestem: jestem matką od kuchni, robótek, wycierania kurzu i poprawiania bielizny, ale...

LEON

Ach! Tak chciałem choć raz uniknąć tych przykrych rozmów - jeden wieczór... Tu trzeba być aniołem, żeby się nie wściec!

MATKA

Dla ciebie to tylko przykra rozmowa, a dla mnie całe moje życie, którego ciężary...

LEON

Ach, dosyć, na Boga! Jeden jedyny wieczór w spokoju!! (*zagaduje*)

Myślę, że za rok, może za dziewięć miesięcy będę już profesorem we własnej szkole, którą mam zamiar założyć...

MATKA

I tak bez doktoratu, bez docentury, a nade wszystko bez stosunków? Czy ty czasem nie przesadzasz, mój drogi?

LEON

Znowu mi mama chce odebrać odwagę, jak wtedy z tym odkryciem zasady logizacji każdej wiedzy, nie tylko podstaw matematyki. A teraz już x ludzi pisze o tym samym i zastosowuje moją metodę. A ileż faktów podobnych było w dzieciństwie.

MATKA

Ja wiem - ja psuję wszystko. A w zamian za to zniechęcanie do wszystkiego daję ci tylko marne utrzymanie. Ale cóż to może mieć dla ciebie za wartość?

LEON

Czy może mama woli, żebym został od razu alfonsiem lub szpiegiem? To są zawody, które nie wymagają przygotowania i nie wyczerpują intelektualnie.

MATKA

A ty nie mówisz niepotrzebnie przykrych rzeczy? Czyż ty nie rozumiesz, że ja ci chcę otworzyć oczy na to, co jest? Czy ty pomyślałeś kiedyś nad tym, czym będziesz, kiedy mnie nagle zabraknie?

LEON

Myślałem. I tylko jedna Zosia może mnie wstrzymać od samobójstwa w tym wypadku. Bo ty jednego tylko nie rozumiesz, że ja ciebie naprawdę kocham i że dotąd nie widziałem życia przed sobą bez ciebie. Nawet moje koncepcje...

MATKA

Zostaw na chwilę te twoje koncepcje. Tobie się zdaje, że ty masz uczucia - ty jesteś tylko sentymentalny. Ty na przypomnienie mojej możliwej śmierci widzisz jedną rzecz tylko: twoje samobójstwo, które nigdy zresztą nie nastąpi, bo właściwie jesteś tchórzem.

LEON

Jeśli tak jest, to twoja wina, że mnie na takiego wychowałaś.

MATKA

Byłeś tak słabowity... Ach, co ja mówię. Jak my w ogóle mówimy - przecież to jest wstrętne.

LEON

Otóż to, kręcimy się w kółko. Czy nie lepiej porzucić te rozmowy i brać życie takim, jakim jest?

MATKA

No tak - to znaczy wysysać tę nieszczęsną matkę, aż póki nie zdechnie jak spracowane bydło. Ja wiem, ja wiem - to nazywasz tragizacją. Logizacja - tragizacja. Ty logizujesz wiedzę o przyszłości ludzkiej, ja tragizuję wiedzę o mnie samej i o tobie.

LEON

I cóż zostaje po takiej rozmowie? Jedyne wnioski są takie: żebym porzucił moją istotną pracę i zaczął zarabiać w zupełnie bezmyślny sposób.

MATKA

Ach, Leoneczku, czyż ty myślisz, że ja jestem taka naprawdę jak teraz, gdy z tobą mówię?

LEON *obejmując ją*

Ja wiem, ja wiem wszystko - ja nie jestem taką świnią, za jaką mnie masz. I wszystko będzie jeszcze tak dobrze!

MATKA

Ja tylko jednej rzeczy chcę: żebyś ty nie ludził się co do siebie. Może nie pojmuję tej twojej pracy, ale nie wierzę w nią. Ty nie rozumiesz życia zupełnie. Ja cię przed nim osłaniam jak pancierz. I boję się, żebyś nie dożył tej chwili, w której poznasz, że całe twoje życie to ja i nikt, i nic więcej.

LEON

Czy ty myślisz, że ja tego nie wiem? Dlatego mówiłem o samobójstwie.

MATKA

Gdybyś to wiedział, to byś nie tylko nie mówił mi o tym samobójstwie - ty byś tego nie pomyślał.

LEON

Tak - i wtedy nie posłyszałbym od ciebie tej okropnej prawdy, że jestem tchórzem - o ile to w ogóle jest prawdą.

MATKA

Nie - ty wleziesz na jakiś szczyt, ty nawet możesz mieć pojedynek - żeby mnie tylko niepokoju nabawić - ale jest nie to, nie to...

LEON

Ja wiem: ja nie mam odwagi zostać robotnikiem czy urzędnikiem na poczcie - o to chodzi. Oto są te nasze rozmowy - nawet nie są tragiczne w swej otwartości. Czy nie lepiej zawołać Zosię?

MATKA

Tak się boję, tak się strasznie boję, że ja ją będę musiała nienawidzić.

LEON

Boję się czegoś innego - oto, że ty przestaniesz mnie do reszty uznawać, a nawet kochać, jak poznasz ją. Poza tym swoim lenistwem i bezzwzględnością to jest cudowna istota. Zaraz ją sprowadzę.
Wychodzi.

MATKA *do siebie*

Boże jedyny! Znowu to samo. Przysięgłam sobie, że nigdy mu już tego wszystkiego mówić nie będę - i nic: musiałam, musiałam... O męko straszliwa wymuszonych od wewnątrz czynów, przed którymi skręca się ze zgrozy cała ta nasza głupia, niby-ludzka powłoczka, nędzna maseczka na tym bydlęcym balu maskowym, którym jest życie społeczne, zaczynając od rewolucji francuskiej. On ma jednak rację, ten bydlak. (*Wchodzi Dorota i nakrywa do stołu.*) Gdzież całe moje wychowanie, gdzie cała moja niby-arystokratyczna finezja? A jednak trzeba się skupić do ostatniej walki i być sobą na nowo. (*innym tonem*) Moja Doroto, proszę mi dać mój czarny czepek.

Dorota podaje. Matka mizdrzy się do siebie przed lustrem na prawo. Dzwonek. Matka siada bezwładnie. Dorota idzie otworzyć.

Wchodzi Zofia i Leon.

LEON

Mateczko, oto moja narzeczona, panna Zofia Plejtus - jedyna kobieta, którą bez dysonansu wewnętrznego możemy przyjąć do naszego domu.

Dorota nakrywa dalej.

MATKA

Do mojego domu. *(wstaje)* Dobry wieczór pani. *(Zofia chce ją pocałować w rękę.)* O, nie potrzeba; nasze stosunki ułożą się same - bez przymusu.

LEON

Moja matka lubi czasem okazać się gorszą, niż jest. Niech pani na to nie zważa, panno Zofio. Od dziś będzie się pani stołować u nas wraz z ojcem pani. *(do Matki)* Ojciec pani jest byłym stolarzem, tak samo jak mój ojciec.

MATKA

Leoneczku, twój ojciec był też śpiewakiem, *(do Zofii)* Ponieważ pani ma zamiar stołować się u nas z całą rodziną, więc lepiej niech się pani dowie całej prawdy od razu.

LEON

Tylko nie zaczynajmy jakichś dramatów à la Ibsen, z tak zwaną tragedią fachów i niedociągnięć do tych fachów. Raczej już niech będzie tragedia zimnych zup i wygotowanego z soków mięsa à la Strindberg.

MATKA

Tak to obniżasz wartość wszystkiego. Tak samo postępujesz z Ibsenem i Strindbergiem jak ze mną. Cóż jest genialniejszego jak „Sonata widm” Augusta Strindberga? Ale mniejsza o to. Otóż, moja Zosiu - wszak mogę cię tak nazywać?

ZOSIA *nieśmiało*

Jeszcze z panem Leonem jesteśmy na pan i pani. Zaręczyliśmy się przed pół godziną.

LEON *rozwiąźle*

Głupstwo - cała wieczność jest przed nami. Zaczynamy się tiutujować od tej chwili...

MATKA *do Leona*

Nie bądź niesmaczny. Nie chodzi o formy, *(do Zofii)* Czy wy się kochacie? *(Pauza. Dorota wychodzi cicho)*. Nie? - a więc to jest to samo co w stosunku do mnie. On mnie nie kocha - on nie kocha nikogo. On tylko mówi, że jest przywiązany do swoich idei, ale i to nie jest pewne.

ZOFIA

A czy pani go kocha?

Pauza ciężka.

MATKA *głucho*

Nie wiem. Wiem jedno, że gdyby umarł, nie mogłabym...

LEON

Po co te wielkie słowa i wielkie problemy? Burza w kuble z pomyjami.

MATKA

Jesteś ordynarny. Jak się nie wstydzisz przy pani?

LEON

Ach - nudzi mnie już to wszystko. Są rzeczy stokroć ważniejsze od tego, czy się kochamy, czy nie. Życie można tworzyć nie rozstrzygając tych pozornie wielkich małomieszczańskich sprawek...

Siadają wszyscy.

MATKA

A jednak materialnie...

LEON

Czy nie moglibyśmy pozostać w sferze czysto psychicznej jedynie?

MATKA

Nie, nie - to się wszystko splata w jedną całość. Zimna zupa i zmiatanie pokoju - teraz mam służącą, ale moje oczy...

LEON *zrywając się*

Boże, Boże! Ja chyba oszaleję!

MATKA

Chyba - to bardzo charakterystyczne.

ZOFIA *wstaje i kładzie Leonowi rękę na głowie*

Uspokój się, Leonku.

Leon flaczęje i siada. Zofia siada również.

LEON

Tak - doszliśmy do tego, że nie wiemy już, czy się kochamy, czy nie, jakkolwiek żyć byśmy bez siebie nie mogli. Czyż jest coś gorszego? A ja powiem wam otwarcie: ona mówi, że ja jestem wampirem - teraz przybył nam drugi wampir - Zosia i trzeci - jej ojciec; dawajcie więcej wampirów, które są potrzebne, abym istniał ja, bo ja usprawiedliwiam wasze istnienie.

ZOFIA

A tego to już nie rozumiem. Nie gniewaj się, Leonku.

MATKA

To potworne, co on mówi.

LEON

Wcale nie. Ja jeden wpadłem na genialny pomysł. Wy nie wiecie? Mogłem być artystą w trzech rodzajach sztuk: grałem, malowałem i pisałem. Mogłem być także zwykłym realistycznym rzemieślnikiem w tychże samych fachach: realistycznym malarzyna, kopistą niedościgłej natury, modnym wyszukiwaczem nowych dreszczów uczuciowych dla histerycznych kobiet w muzyce i literatem - to jest takim panem, który wszystko opisać potrafi, i mogłem mieć pieniądze. Mogłem być i prawdziwym artystą w sztukach tych, to znaczy tym, który stwarza koncepcje formalne, nawet za cenę deformacji. Mogłem być uznany lub nie - to inna kwestia - ale mogłem też być blagierem spekulującym na upadku

sztuki w ogóle, szakalem wylizującym resztki z cudzych półmisków, i przy pomocy tego zrobiłbym już pieniądze na pewno - nie chciałem. Moja ambicja sięga dalej niż to wszystko.

MATKA

Zawsze byłeś dyletantem, a dyletant nie może mieć prawdziwej ambicji

LEON

Myli się mama; dziś być dyletantem to znaczy czasem więcej - czasem, mówię - niż być specjalistą chodzącym w kieracie z klapami na oczach. Już w sztuce są dziś specjaliści, nie tylko w nauce - ale geniusza tej miary co Leonardo da Vinci nie ma i być nie może. Jest w tym wszystkim wina rozrostu wszystkich tych sfer, niemożności ogarnięcia całości. Ale oprócz tego sama siła indywidualności jako takiej przygasła, a nie tylko zdaje się nam to na tle dzisiejszego rozwoju społeczeństwa. I wiecie, gdzie można być jeszcze dobrym dyletantem? - w historii i wnioskach, które z niej wyciągnąć się dadzą na przyszłość. Powiecie, że ja na tym zyskuję w moich oczach, że sam się sztucznie podnoszę. Zgadzam się: moje życie jest jedno i jedyne jak każde inne, ja je przeżywam, a nie kto inny ani nie zbiorowość...

ZOFIA

Pleciesz bzdury, Leonku - to są truizmy.

LEON

Poczekaj, może ci się tylko tak zdaje. Podstawy logiki wydać się mogą niespecjalistom także jakąś bezmyślną bzdurą, powtarzaniem z uporem tego, że A równa się A. Ja nie staczam się bezwładnie po linii najmniejszego oporu - ja moje życie staram się przeżyć na tym najwyższym poziomie, danym mi przez przeznaczenie, które mam wypełnić. Ostatecznie ktoś musiał się poświęcić, aby to właśnie zrobić co ja - tak jak Judasz musiał się poświęcić, aby sprzedać Chrystusa - inaczej nie byłoby zbawienia.

ZOFIA

Ale jaka jest ta twoja idea, Leonku? Wytłumacz nam to raz dokładnie.

MATKA

On mówił mi to już tysiąc razy. Nic nie rozumiem. Niech ci tłumaczy, moja Zosiu. Ja idę zająć się kolacją.

Wychodzi.

LEON

Dziś miałem pierwszy odczyt w tajemnicy przed wami. Jednak uciekłem przed dyskusją. To jest mój start, a jak się nie uda, jestem zarżnięty na wiele, wiele lat i czeka mnie znowu to tak zwane wysysanie pracy mojej matki.

ZOFIA

Zostaw już raz tę matkę. Ty wysysasz najwięcej sam siebie wyrzutami sumienia.

LEON *mówi z wzrastającym zapalem*

Masz rację; otóż idea moja jest prosta jak drut. Faktem jest, że ludzkość degrengoluje coraz bardziej. Sztuka upadła i niech koniec jej będzie lekki - można się bez niej obejść zupełnie dobrze. Religia skończyła się, filozofia wyżera sobie bebechy i też skończy śmiercią samobójczą. Koniec indywidualizmu zarżniętego przez społeczeństwo - rzecz już dziś banalna.

Jak odwrócić ten pozornie absolutnie nieodwracalny proces uspołecznienia, w którym ginie wszystko, co wielkie, co ma związek z Nieskończonością, z Tajemnicą Istnienia?

ZOFIA

To się odwrócić nie da.

LEON

Właśnie, że się da! Ale nie przez odradzanie rasy nadludzi - to błaga tego potwornego umysłowego impotentą, Nietzschego - i nie przez mrzonki o ogólnej szczęśliwości, w której wszyscy dobrzy ludzie będą mieli czas na wszystko - oni będą może mieli czas, ale będą innymi ludźmi, raczej zmechanizowanymi bydlętami, tego nie rozumieją nasi naiwni marzyciele; i nie przez sztuczne odnawianie religii przy pomocy fabrykowania nowych mitów - to błaga ostatecznych historycznych niemowląt naszej epoki. To wszystko są formy zasłaniania sobie oczu na potworność tego faktu, że my giniemy. To wstrętne. Jeśli mamy już raz, do diabła, ten intelekt, który według Spenglera jest symptomem upadku, to mamy go dany na coś, nie tylko na to, aby uświadomić sobie ten nasz upadek i nic więcej. Ten sam intelekt może stać się czymś twórczym i odwrócić ostateczną katastrofę.

ZOFIA

To są głośne obietnice. Jak to wykonać, tego sam nie wiesz.

LEON

Wiem, jak zacząć. A więc przede wszystkim nie chować głowy pod skrzydło, tylko spojrzeć prawdzie w oczy i tym właśnie pogardzanym dziś intelektem odeprzeć historyczną prawdę, która się na nas wali: szarzyzna, mechanizacja, plugawe bagienko społecznej doskonałości. Dlatego że intelekt okazał się symptomem dekadencji, stać się antyintelektualistą, sztucznym durniem, blagierem à la Bergson? O nie. Na odwrót: uświadomić sobie to wszystko aż do granic ostatecznych i nie sobie tylko, ale i innym też. Zadanie piekielnie trudne: uświadomić szerokie masy, że wolny, naturalny rozwój społeczny grozi upadkiem. Założyć trzeba będzie specjalne instytuty tej wiedzy i wytworzyć różne stopnie jej popularności. Akcja musi być zbiorowa, na olbrzymią skalę. I jeśli miliard ludzi sprzeciwi się świadomie upadkowi, to upadku nie będzie. Zorganizować tak ogólną świadomość całych klas, całych społeczeństw, aby na ten zbiorowy upadek nie było po prostu miejsca. chyba między mrówkami.

ZOFIA

Nie widzę zupełnie tego punktu, gdzie ta myśl może zaczepić się o rzeczywistość.

LEON

Czekaj, nas zabija instynkt społeczności - odwrócić go przeciw niemu samemu - na to mamy właśnie organizację zbiorowości, aby się nie dać i zabić w niej to, co jest szkodliwym dla indywidualium. Zamiast obalwiania tłumy utopiami państwowego socjalizmu i potworną rzeczywistością syndykalizmu i kooperatyw - zużyć w tym celu już osiągniętą organizację społeczną, aby uświadomić każdego o niebezpieczeństwach dalszego jej rozwoju. Jeśli każdy będzie myślał tak jak ja, to już tym samym społeczeństwo nie zdoła przerosnąć osobowości. Na to mamy organizację nauczania, na to społeczną dyscyplinę, aby móc tego dokonać, a wtedy może, przy takim zbiorowym stanie ludzkości, ukażą się nowe, nieznanne perspektywy. W każdym razie nowych możliwości nie ma w koncepcji ogólnej szczęśliwości naszych nędznych idealistycznych tchórzów - jest tylko mrok zmechanizowanej szarzyzny. Tak - indywidualium w ogóle skończyło się. Możliwe, że to ja jestem ten jeden jedyny w swoim rodzaju osobnik, od którego rozpocznie się zwrot naprzód, naprawdę naprzód, a nie staczanie

się w otchłań stadowej nędzy pod maską wysokich ogólnoludzkich ideałów. To musi być zbiorowy czyn uświadomienia na szaloną skalę. Stan wzajemnego antyspołecznego odpychania indywidualów przezeń wytworzony musi przewyższać siłę społecznej przyczepności, a wtedy zobaczymy.

ZOFIA

Och - gdybyśmy to mogli zobaczyć! Gdyby ta idea dała się przeprowadzić, byłoby to naprawdę coś wielkiego.

LEON

Zrozum, że tu jeden człowiek ani grupa wystarczyć nie może. Dopiero cała ludzkość uświadomiona w ten sposób stworzyć może taką atmosferę społeczną, w której powstać będą mogły indywiduala nowego typu, bo ta atmosfera będzie nowa, taka, jakiej od początku świata nie było. To nie jest żadna dotychczasowa mdła demokratyczna organizacja tak zwanej „inteligencji” - mdła demokracja to wcielenie fałszu - ona nie pozwala na spojrzenie prawdzie w oczy, a to ostatnie dopiero, i to masowe, stworzyłoby nowy zbiorowy stan, o jakim mówię.

ZOFIA

A jeśli to się nie uda? Co wtedy?

LEON

Nie mamy nic do stracenia. Może to fikcja, ale jedyna, której warto jeszcze spróbować. W każdym razie tam, gdzie my idziemy teraz, dokąd wloką nas ślepe siły społeczne, to jest ku ostatecznej mechanizacji i zbaranienu, nie ma przed nami nic. Szalona praca jest do wykonania - trzeba wykuć z niczego podstawy nowych możliwości, które są nieobliczalne. Najpiękniejsza transformacja, jaka się da pomyśleć. Ale dlatego musi nastąpić przede wszystkim odmaterializowanie socjalizmu, jako pierwszy stopień - rzecz pozornie niewykonalna, a jednak konieczna. Nie burzyć społeczeństwa i nie stwarzać błaznów à la Nietzsche, tylko zużywając siły społeczne stworzyć społeczne, nie indywidualne możliwości powstania nowej ludzkości. A oprócz tego wszystkie inne fizyczne środki odrodzenia mogą być potęgowane dalej. Ale my dążymy do produkowania zdrowych automatów, stokroć tragiczniejszych w automatyzmie swym od owadów - bo myśmy to wszystko mieli i stracili. *Pada wyczerpany na krzesło.*

ZOFIA

Tak - rozumiem. Zmęczyłeś mnie okropnie. To jest idea bezsprzecznie wielka. Ale powiem ci jedno: czy ty to robisz z miłości do ludzkości?

LEON

Nie - ja ludzkości nienawidzę. Wstydę się, że jestem człowiekiem. Ale w naszych czasach nastąpiła dysocjacja idei danego człowieka od jego wartości etycznej. Prorok może dziś być świnią - jest to przykre, ale to jest fakt. Zresztą na razie świnią nie jestem mimo całej nienawiści do ludzi - nienawidzę ludzi dzisiejszych. Ale zrozum, mimo to nie wiem jednak, czy chciałbym być kiedyś nawet egipskim faraonem, dlatego że faraon - z punktu widzenia tragicznej potworności społecznego rozwoju - jest dla mnie takim samym błaznem jak kacyk Papuasów - dawny jego przeżytek na małą skalę, lub jakiś dzisiejszy Wilhelm II i Ludendorff - ludzie Nietzschego. A równie wstrętne jest dla mnie cała nasza połowiczna, kłamliwa demokracja, jak świadome zbydlęcenie, które jest na dnie komunizmu i syndykalizmu. Ale tu wynik jest wiadomy - tylko kretyn może tego nie widzieć - a to, o czym ja mówię, zawiera możliwości nowego horyzontu, jest nieprzewidzalne, a więc warte wykonania. A wiarę moją

opieram na tym, że tajemnica Istnienia jest niezgłębiona i w żadnym systemie pojęć bez reszty pomieścić się nie da.

ZOFIA

Więc czym ty sam jesteś w tym wszystkim?

LEON

Mogę być punktem wyjścia fali zdarzeń wszechświatowych. To mi wystarcza. A zresztą może nie jestem sam, może takich, którzy myślą tak, jest wielu. Ale zacząć to na wielką skalę, a nade wszystko jasno to sobie sformułować jest niewygodnie - wolą się okłamywać.

ZOFIA

Ależ na to trzeba strasznego okrucieństwa w stosunku do wszystkich dotychczasowych ideałów, na to trzeba, aby wszyscy byli tak mądrzy lub raczej, aby byli takimi szaleńcami jak ty - a właściwie zorganizowanym zbiorowiskiem takich szaleńców.

LEON

Masz rację - widzę, że mnie rozumiesz. Pomożesz mi w agitacji - kobieta może się bardzo przydać w takiej awanturze.

ZOFIA

Wiesz, że przede mną otworzyła się jakaś nowa wewnętrzna przestrzeń. Ja chyba jednak się w tobie kocham. Teraz mi się podobałeś bardzo, gdy to mówiłeś. Ale może to taki sam narkotyk, przy pomocy którego ty przeżywasz twoje życie nieudanego artysty, jak ja moje życie nieudanej trzeciorzędnej kokoty - bo nie wiem, czy byłabym zdolna być heterą pierwszej klasy.

LEON

Co? Cóż to nowego?

ZOFIA

Możliwe, że gdybyś nie był mnie spotkał wczoraj, dziś bym sprzedała się komukolwiek bądź. Ja nie umiem i nie chcę pracować normalnie. Ale to nie jest praca, tylko rodzaj artystycznej improwizacji.

LEON

Wampiry! Chwilowo zwalimy się na kark mojej matce. Ona to wyrobi swymi robótkami - to jest potworne. Ale ja nie mam czasu na nic innego. To, co wymyśliłem, wymagało olbrzymiego przygotowania, samotności, szalonego pozornego próżniactwa i myślenia - wmyślenia się w to bez końca. Aż wreszcie teraz dojrzało wszystko do wybuchu. Jestem jak jakiś nabój wysokiej marki eksplozywności leżący spokojnie na łące. Ale dotąd nie ma armaty i nie ma mnie kto wystrzelić. A tego sam nie potrafię - muszę mieć ludzi.

ZOFIA

Ja chcę być wystrzelona razem z tobą.

LEON

Swoją drogą myślałem, że ty zaczniesz pomagać matce w pracy.

ZOFIA

Nigdy - na to mnie nie weźmiesz. Mogę cię opuścić i sama będę pracować nad twoją ideą jako uliczna dziewczynka.

LEON

Dobrze, dobrze - może się to jakoś załatwi.

Wchodzi Matka z Dorotą; podają kolację.

MATKA

No i cóż, Zosiu? Przecież to fikcja pozbawiona zupełnie podstaw realnych. Prawda? Lepiej zabrały się do jakiejś pracy. Oboje moglibyście wziąć posady.

LEON *do Zofii*

Widzisz?

ZOFIA

Nie, mam - czy mogę panią tak nazywać?

MATKA

Proszę cię, moje dziecko. Jestem matką materialną. Duchowo Leon jest zupełnie jak ojciec. Tylko dotąd nie był zbrodniarzem.

ZOFIA i LEON

Jak to?

MATKA

Aha - więc ta rewelacja robi na was jednak pewne wrażenie.

LEON

Niech mama mówi wyraźnie.

MATKA

Ojciec twój zginął w Brazylii, w Paranie, na szubienicy. Uciekłam stamtąd i wychowałam cię tu, na moje nieszczęście. Potem miałam jeszcze trzech kochanków.

LEON

A to cudowne! I mama chowała to jako ostatni atut aż na dzień moich zaręczyn! W jakim celu? To nadzwyczajne! I cóż ty na to, Zosiu? Może chcesz zerwać wszystko?

ZOFIA

Czy wiesz - będę otwarta - może gdybym się dowiedziała o tym przed twoimi ideowymi zeznaniami, może bym zerwała. Teraz - nie. *(do Matki)* Wie mama, ja, zdaje się, kocham Leona, ale pracować na niego nie będę - będę pracować z nim. Zostaję wampirem. Pierwszy raz w życiu będę sobą.

MATKA

Tak - biedne dziecko. On cię już opanował. Ja do ciebie nie mam żadnego żalu. Może z czasem się to zmieni. Tymczasem siadajmy do kolacji.

ZOFIA

Ach - wszystko jest nie to - ja myślałam...

LEON

Ach, nie mów już nic. Siadajmy do kolacji i niech ona nam przez gardła przejdzie po tym wszystkim. Jeszcze jedno, czy wy nie rozumiecie - pierwszy raz mi to na myśl przyszło - ja nie mam złudzeń: ty jesteś straszną kobietą, Zosiu...

MATKA

Leon. To nieszczęsna obłąkana...

LEON

Proszę słuchać. Czy wy nie rozumiecie, że to ja nadaję waszym istnieniom sens wyższy? - Ja jeden. Tylko mama nie pojmie tego nigdy. Gdyby nie ja, byłybyście obie zwykłymi wytworami małomieszczańskiego, bezdusznego życia, tragicznego jedynie w jego bezmiernej małości i płaskości. Ja rozświetlam to wszystko innym światłem wyższego rzędu i daję potęgujące tło tej tragedii zimnej zupy i chorych oczu matki, i zmęczonych szydełkowymi robótkami jej rąk. Ja jestem ten, który nadaje temu sens istotny. Ach! Ona tego nie zrozumie nigdy! Nawet jeśli moja idea jest bzdurą, jestem wielki jako wampir - a one? Zosia właśnie może jest wielką jako mały wampirek, który przyssał się z boku. Beze mnie bylibyśmy jedną z setek tysięcy zrujnowanych rodzin, z mezaliansem, synem zbrodniarza, baronówną (*do Zofii*) - bo trzeba ci wiedzieć, że mama jest z domu von Obrock, przez ck, a nie zwykły obrok, jakim się wydać może - ród znany już w XI stuleciu nad Renem. Cha, cha! Ja jestem także trochę snob, ale równie cieszy mnie to, że mój papa wisiał - jestem snob wyższego rzędu. Mówię programowo najbardziej brutalne świństwa.

ZOFIA *zawstydzona i zadowolona*

Ja nie wiedziałam... To jest nadzwyczajne... *Nie wie, co powiedzieć.*

LEON

O, widzi mama: Zosia się cieszy, że ma teściową baronównę z domu i że ja jestem bardzo dobrze urodzony, chociaż do połowy. *Dzwonek. Pauza. Dorota wychodzi i zaraz wraca.*

DOROTA

Jakiś pan chce mówić z paniczem.

LEON

Prosić na kolację. I niech Dorota poda wódkę. *Dorota wychodzi.*

MATKA

Leon!

LEON

Ale nic - wystarczy dla wszystkich. Ja czuję, że mam po prostu obowiązek wyssania mojej matki - jako taka, to jest jako wyssana przeze mnie, przejdzie do historii. (*Wchodzi dyrektor Cieleńciewicz.*) A - to pan, panie dyrektorze. Pan dyrektor Cieleńciewicz, dyrektor teatru „Iluzjon”, który mi udzielił sali na dzisiejszy odczyt. Mama będzie musiała dopłacić - zaledwie połowa miejsc sprzedana. Nie mówiłem nic, że miałem dziś pierwszy odczyt w życiu. Moja matka, moja narzeczona, panna Plejtus.

CIEŁĘCIEWICZ *witając się z paniami*

Ach, panie, gorzej jest. Była dyskusja. Pan uciekł. Awantura piekielna.

LEON

No to lepiej dla reklamy.

CIEŁĘCIEWICZ

Nie, panie, to jest „finish” z panem. Policja chce pana aresztować. Połowa krzeseł rozwalona, lampy pobite, demolacja kompletna. To kosztuje, panie - to kosztuje.

MATKA *z ironią*

To nic, panie dyrektorze. Ja zapłacę moimi robótkami. O - właśnie kończę prześliczny dzemper. Niech pan siada. Leon podzieli się z panem chętnie swoją porcją. Ja mogę nie jeść wcale, bo to mi zresztą na noc szkodzi.

CIEŁĘCIEWICZ

Ach, dziękuję - ja tylko na chwilę. *(do Leona)* Wie pan, ja czuję, że pan ma trochę racji, ale też nie rozumiem pana dokładnie. Ale pana nikt nie zrozumiał na sali: największe inteligenty miasta - mieli darmowe bilety - ledwo ich ściągnąłem. Nikt nic nie rozumie: posądzają pana o zupełną błagę. Ja sam nie wiem, wie pan... Ale oburzenie na pana jest straszne. Mówią, że pan chce zniszczyć wszelkie dotychczasowe ideały, że to jest zgniły pesymizm i zupełna anarchia myśli - gorzej: nihilizm zdegenerowanego burżuazja. Inni mówią, że to gorsze od komunizmu. Już sam nic nie wiem.

LEON

A więc rzeczowej dyskusji nie było?

CIEŁĘCIEWICZ

Była formalna rzeczowa bójka. Jakichś dwóch znalazł pan wyznawców - okropne, mówię panu, typy, spod ciemnej gwiazdy - gorsi od najgorszych wrogów. Zbito ich na kwaśne jabłko. Dobrze, że pan uciekł zaraz po swojej przemowie. Z pewnością dostałoby się i panu.

MATKA

Tak - Leonek ma słaby system nerwowy, lepiej, żeby się nie narażał osobiście...

LEON

Może mama pozwoli... A więc wszyscy są idioci? Te słynne pańskie mogły miejskiej inteligencji? Przecież można być przeciwnikiem jakiejś idei rozumiejąc, można zwalczać ją rzeczowo. Ale tego boją się ci panowie.

CIEŁĘCIEWICZ

Pan wybaczy, ale ja też nie bardzo pana rozumiem...

LEON

Więc przed odczytem udawał pan, że pan rozumie? Tak?

CIEŁĘCIEWICZ

Nie chcę z panem więcej mówić, skoro pan jest zdenerwowany. A oto rachuneczek. Proszę: dwa tysiące talarów. Żegnam, żegnam. *Wychodzi kłaniając się. Pauza.*

MATKA

No cóż - cieszymy się. Każdy wielki prorok był kiedyś nie uznawany. Wypijmy za ten pierwszy sukces. Im więcej kto jest nie uznany, tym jest większy. Zosieczko, wypijesz ze mną wódki?

LEON

Co? Mama pije?

MATKA

Od dwóch lat, mój drogi. Czy ty myślisz, że bez tego wytrzymałabym to wszystko? Jestem skończona alkoholiczka.

LEON

Ha - to jest nowy cios. Ale musimy go wytrzymać. Na jakie dwa lata jestem zarżnięty, ale się nie cofnę.

MATKA

Ja też - wytrzymam też do końca. Ale jeśli umrę nie w porę, zanim dokonasz twego wielkiego dzieła?

LEON

Mamo, zjedzmy raz spokojnie tę kolację. Nalewa szklanek wódki i wypija.

MATKA

Leon!

LEON

Ja też zaczynam pić. Okropny dramat można z tego zrobić przy dobrej woli. Zosiu, pij także - wieczorek zaręczynowy musi być wesoły. Panie piją z kieliszków. Leon wali drugą szklanekę.

ZOFIA

Ja tylko jednej rzeczy nie pojmuję, że on tak nienawidząc ludzkości w ogóle, a ludzi w szczególności, i będąc tak okrutnym wobec najbliższych - no, co prawda to rozumiem najlepiej - może to wszystko chcieć robić. Jaki jest mechanizm tej psychologii?

LEON *pijany; z ironią*

Ty w ogóle nie rozumiesz ludzi wielkich, moje dziecko. Ale z czasem nauczysz się. A ja się nie cofnę.

MATKA

Łatwo ci to mówić. Zosiu, proszę cię, bierz makaron. Nie krępuj się. Ja zupełnie schamiałam w tym wszystkim.

ZOFIA

Ach, á propos: ja zupełnie zapomniałam, to jest - zapomnieliśmy razem z Leonem, że mój ojciec czeka tam w cukierence na rogu. Ja go chyba przyprowadzę.

LEON

Ależ oczywiście. Ja nie mogę, jestem zupełnie pijany. Przecież i tak Cieleńciewicz miał być na kolacji, więc jedno miejsce jest wolne. Idź, Zosiu, prędko i przeproś ojca, że tak długo czekał.

(Zofia wychodzi.) Mamo, przecież mama wie, że ja to wszystko umiem ocenić - gdyby nie mama, nie dokonałbym niczego.

MATKA

Tak - strasznie dużo dokonałeś: rachunek na dwa tysiące talarów.

LEON

Mamo, czy mama nie widzi, że na to, aby to wytrzymać, trzeba też piekielnej siły.

MATKA

Nie zaczynajmy tych rozmów. Lepiej zjedz coś - za dużo wypiełeś.

LEON *chce ją objąć*

Mamo, przecież mama wie, że ja mamę naprawdę bardzo... Mama wie, że ja bez mamy...

MATKA *usuwając się*

Tak, tak - bez mamy. Trzymaj się mnie za suknię, bo upadniesz. Wstrętny jesteś.

LEON

Mamo, ja tego nie wymówię chyba... Ale ja tak bym chciał, żebyśmy się... Żebyśmy się - - - kochali...

Obejmuje ją.

MATKA

Wampir! Wampir! Precz ode mnie! Nigdy nie zbliżaj się do mnie więcej. Możemy się witać i żegnać z daleka. Masz nową ofiarę: tę biedną Zosię.

Wchodzi Zofia ze swoim stetryczatym ojcem. Matka opanowuje się. Leon stoi zmartwiły.

LEON *nieprzytomnie; stężony*

To jest najgorsze, że nic nie wiadomo, co w tym wszystkim jest prawdą, a co jest błagą, podłą błagą. Jedna rzecz jest pewna na świecie, to cierpienie...

Stoi bez ruchu.

MATKA

Proszę bardzo. Miło mi poznać ojca mojej przyszłej synowej. Niech państwo siadają do stołu. Kolacja skromna. A może przedtem wódeczki? Niech pan nie zwraca na niego uwagi; wypił za dużo z powodu zaręczyn.

ZOFIA Cha! Cha! Cha! Cha!

AKT DRUGI

Salon dość luksusowego mieszkania. Drzwi wprost i na prawo. Wieczór. Palą się lampy. Kolory jedyne: czarny i biały, jak w akcie I. Kolory ubrań i twarzy osób również takie same jak w akcie I, chyba że będą podane inne w ciągu akcji. Matka, ubrana jak poprzednio, siedzi na środku salonu na prostym zydlu kuchennym i robi robótkę jasnobrązowego koloru z dzikim zapamiętaniem. Obok niej na stoliku duży syfon i butelka wódki. Co chwila Matka robi sobie „whisky and soda” i popija. W sąsiednim pokoju, na prawo, prawdopodobnie w jadalni, słyszeć ustawianie naczyń w kredensie. Pauza.

MATKA

Dorota! Dorota!

Wchodzi Dorota ubrana na czarno z białym, ale o wiele szykowniejsza niż w akcie I.

DOROTA

Słucham jaśnie panią.

MATKA

Tak mi dobrze u was było w kuchni, moja Doroto - tam się czułam jak u siebie. A tu, nawet gdy siedzę na tym zydelku, wszystko takie jest obce i straszne, jakby nie z tego świata.

DOROTA

Zdaje się jaśnie pani: wszystko nowe, ładne i wcale nie straszne. Panicz teraz taki dobry...

MATKA

Nie pozwolił mi siedzieć u was w kuchni. A tu mnie tak bardzo źle, tak okropnie, jakby mnie dusiła jakaś obrzydliwa zmora. Coś takiego lepkiego, bez rąk i nóg, leży na mnie. I nie wiem, czy to kadłub bez członków, czy jakie zwierzę. A sama sobie zdaję się taka olbrzymia jak wieża. I chodzę taka duża po tych **innych** pokojach i patrzę na siebie drugą, też **inną**, jak biegam jako mała myszka **po tych samych pokojach**. I potem „pac” - myszka łapie się w pułapkę i ja się budzę. To mi się zdaje kilka razy na dzień.

DOROTA

I to **nie** we śnie?

MATKA

Nie - robię robótkę, wszystko jest tak, jak jest, a mimo to tamto się odbywa jakby w innym świecie, **który mimo to jest tu**. To może jest ta Wielość Rzeczywistości tego Chwistka, tego filozofa, którego panicz teraz ciągle czyta - marzy mu się logizacja przemian społecznych w celu uniknięcia zjawisk cyklicznych - to jest paniczowi, nie Chwistkowi.

DOROTA

Ja tego nie rozumiem.

MATKA

A czy Dorota myśli, że **ja** to rozumiem? Nic a nic. A on teraz ciągle jeździ. Panicz został agentem handlowym - to jest nie komiwojazerem, tylko coś wyższego. Czemu Dorota się śmieje? Dorota nie wierzy?

DOROTA

Wcale się nie śmiałam. Jaśnie pani się to zwidziało, jak z tą myszką. Nie trzeba tyle pić. (*Matka robi sobie whisky and soda i pije, po czym częstuje Dorotę.*). Ee - to ja chyba czystej, (*nalewa kieliszek i wypija*) O - tak trochę, to bardzo dobrze robi.

MATKA

Kiedy inaczej nie widzę nic - takie plamy ruchome z obwódkami zakrywają wszystko po kolei, na co spojrzę. Już dziś po południu nie widziałam nic.

DOROTA

Po co jaśnie pani robi robótkę? Przecież panicz teraz tak dużo zarabia, a młoda pani za to nocne pielęgniarstwo to przecież też dużo bierze.

MATKA

Trzy tysiące talarów tygodniowo. A panicz to jakoś nieregularnie - jak mu się uda z tym handlem. Ach - jak tylko popiję, to coś widzę, a tak, bez wódki, tobym całkiem oślepla. Ale czemu Dorota tak dziwnie mówiła o tych zajęciach dzieci? Jakby Dorocie się coś nie podobało - co?

DOROTA

Ale - nic a nic nie pomyślałam. Jak mnie się może coś **nie** podobać? Zajęcie jak każde inne - byle dobrze zarobić. Ale nie odpowiedziała mi jaśnie pani, po co męczyć się tą wieczną robótką? Teraz mogłaby pani odpocząć, kiedy młodzi państwo wzięli się już do roboty prawdziwej. A tak straci pani oczy do reszty.

MATKA

O, niech Dorota nie mówi. Już mi zaczynają te koła latać przed oczami. Nic nie widzę. Trzeba popić. (*pije*) A robię tak sobie - coś tam też jest z tego, mimo że wobec tych dochodów to jest głupstwo. Już panicz mnie też gnębi tą robotą, żebym ją rzuciła. Muszę prawie po kryjomu przed nim robić, że to niby tylko dla przyjemności. A zresztą, co bym ja robiła? Wszystko takie obce, straszne - ja chyba bym zwariowała, gdybym nic nie mogła robić. Dla mnie odpoczynek to najgorsza męka. A najstraszniejsza to noc. Sama jedna w tym łóżku paradnym - zdaje mi się, że jestem mała dziewczynka, kiedy byłam jeszcze baronówną - wie Dorota przecie, że jestem z bardzo dobrej...

DOROTA *niecierpliwie*

Ach - już mówiła mi to jaśnie pani dawno. A panicz to zakazał mi mówić do siebie „jaśnie panie” - i młoda pani też.

MATKA

Trudno - ojciec panicza był stolarzem i śpiewakiem i powieszony był za wielkie zbrodnie. Ale dał mi tyle szczęścia przez te trzy lata, że choćby dlatego nie żałuję całego życia, mimo że ono takie straszne, takie straszne - gorsze od śmierci w torturach. Ja chyba już wariuję, moja Doroto. Ja Dorocie powiem w tajemnicy - ale sama się o tym boję mówić, żeby mi coś w

głowie nie pękło - **ja się ciągle trzymam , żeby nie zwariować** . Ja bez morfiny nie śpię wcale. I coraz więcej muszę pić i całe ciało mam już pokłute.

DOROTA

A niech jaśnie pani da spokój! Mnie samej niedobrze się robi. Trzeba się otrząsnąć, przestać pić albo pić mniej i nie brać tamtego paskudztwa.

MATKA

A to jeszcze sam panicz mi kupuje to wszystko. I nie wiem, czy on to robi dlatego, żebym ja już prędzej skończyła, czy właśnie przez dobre serce, bo widzi, że już inaczej żyć bym nie mogła.

Placze.

DOROTA

Pójdę już - ja nie mogę tak rozmawiać. Ja wiem, że jaśnie pani ciężko samej, ale ja już nie mogę.

Wychodzi.

MATKA *sama*

Boże! Boże! Te plamy coraz gorsze, (*pije*) Ja już nie wiem, czy jestem, czy też to jest jakiś sen okropny poza grobem. A może ja nie wiem, że umarłam, i to już jest kara w piekle czy w czyśćcu za to, że go tak wychowałam i tamtego popchnęłam do zbrodni. Może - ja tego nie chciałam - chciałam trochę więcej dobrobytu. Moja wina - gdybym go nie męczyła tym, toby się wyrobił na sławnego śpiewaka i nie zginąłby na stryczku. Dla mnie kradł i zabijał, biedaczek, i dał mi tyle szczęścia. (*placze*) E - trzeba wypić bardzo dużo, to przejdzie. *Pije. Stara się opanować. Przez drzwi środkowe wchodzi kaszląc stary Plejtus, bardzo elegancko ubrany: czarna redengota.*

PLEJTUS *uniżony*

Co słyhać dobrego? Pani matka zawsze nad robótką? He, he!

MATKA

Ach, panie Apolinary - niech pan siada. Jestem bardzo zmęczona.

PLEJTUS

I czym to, pani matko, czym?

Siada.

MATKA

Ach - nie mówmy o tym, nie mówmy o niczym. Czyż pan nie czuje tego, że pan jest dla mnie jakąś potworną zmorą?

PLEJTUS

W ogóle, pani baronowo...

MATKA

Już mówiłam panu sto razy, że nie jestem baronową.

PLEJTUS

Tak, tak - baronówną. A więc pani baronówno...

MATKA

O nędzo straszna nawet samych najzewnętrznieszych form tego okropnego życia!...

PLEJTUS

No - chyba na nędzę narzekać nie możemy. Dzieci pracują jak woły. Synek coś ciągle w rozjazdach. Tylko te ciągle nocne dyżury Zosi, te nocne pielęgniarские zabiegi, połączone z nocnym kursem introligatorstwa i nocnym plastycznym tańcem dla zdrowia - to mi się mniej podoba.

MATKA zaczyna mówić dystygowanie

Czy naprawdę jest w tym coś niestosownego? Ja uważam, że miłość ich stała się jakoś dziwnie naciągnięta. On nie mówi już zupełnie o tych swoich ideach, chociaż podobno są jakieś konferencje i coś zaczyna się ruszać w tym wszystkim. Tu nic nie można wiedzieć na pewno, drogi panie. Dzisiejsze czasy obfitują w takie kontrasty, w takie dziwne przemieszczenia warstw ideowych - ja sama się nie orientuję...

PLEJTUS zaczyna się czuć nieswojo; ratuje się szczerością

Ja nic - ja tylko chciałem powiedzieć, że moja córka od roku już mi się nie podoba. Ubiera się dziwnie, jest jakaś cała zgorączkowana - to te jakieś ideowo-organizacyjne sprawy syna pani, to znowu jakieś wyjazdy. Parę razy widziałem ją w powozie z jakimiś panami... podobno z najwyższej - to jest, chciałem powiedzieć, z arystokracji - kiedy to wypadkiem zabrnąłem na południowo-wschodni koniec miasta, gdzie nigdy właściwie nie bywam...

MATKA jakby zbudzona ze snu

Co pan mówi, panie Plejtus?

Nie w formie zapytania, tylko właściwie: Jak śmiesz itd.

PLEJTUS

To mówię, co myślę, pani baronówno - że moja córka wygląda i zachowuje się jak zwyczajna ostatnia - to jest jak jakaś dziewczyna lekkich obyczajów.

MATKA

I pan mnie śmie to mówić?

PLEJTUS

Czy pani tego nie widzi?

MATKA

Może i widzę: pewne ożywienie, zmiana strojów... Ale pracuje i w ogóle małżeństwo miało na nią wpływ raczej dodatni.

PLEJTUS

Tak pani sądzi? Jest pani wielką optymistką, pani baronówno.

MATKA

Dosyć tych tytułów! Rozumie pan? Proszę ze mnie nie żartować! Boże! Ja nic nie widzę! (*pije*) Och - wszystko mi się w głowie mąci. Pan poruszył moje najbardziej ukryte wątpliwości.

PLEJTUS

Ja pani powiem więcej: mnie mówiono na mieście, że syn pani - oczywiście dla celów ideowych - zmuszony był wejść w sfery zupełnie nieodpowiednie dla młodego męża i syna takiej matrony jak pani.

MATKA

Co pan przez to rozumie? Panie Plejtus, na miłość boską, niech pan mnie nie męczy!

PLEJTUS

Ja mogę powiedzieć pani zupełnie otwarcie, o ile to pani ulgę przyniesie; mówią, że zwąchał się z pewnymi indywiduami, które podobno zanadto blisko kręcą się koło ambasad mocarstw bynajmniej z nami nie zaprzyjaźnionych. Nic udowodnić im nie można, ale pewni ludzie rzucają dookoła cień. Mówiono mi o jakimś bardzo nieprzyzwoitym klubie, utrzymywanym przez coś tego... społecznie bardzo źle widzianych ludzi. A do tego, proszę łaskawej pani matki, czyż może młody mąż afiszować się z tą okropną milionerką Lucyną Beer, która męża bezkarnie otruła, a teraz utrzymuje najgorszą hołotę i bawi się w deprawację młodzieży? Wczoraj widziano go z nią w „Iluzjonie” czy innym jakimś „Excelsiorze”. Dlatego to dochody naszych dzieci...

MATKA *zrywa się*

Milczeć, chamie! Precz z mego domu!! Do kuchni na ochłapy. Tu nie wolno... Milczeć! Bo ja cię policję, ty kanalio... Precz!!! (*Plejtus ucieka na prawo, kaszląc. Matka pada na fotel*)
Więc oni w ten sposób... Ach, to potworne! Ale to jest dziwne, że się tak normalnie czuję. Zupełnie przeszedł mi ten obłęd, (*znowu przypomina sobie tamto*) Ach, to straszne! (*nagle innym tonem*) - Nie - to niemożliwe, to niemożliwe.

GŁOS

A sama tak myślałaś niedawno. Mówiłaś o tym z Dorotą. Cha, cha, cha!

MATKA *nie słyszac Głosu*

Więc to ja ich do tego zmusiłam? Ach - to niemożliwe... Ale ja sama to myślałam, mówiłam o tym z Dorotą - ja sama. Nie, nie, nie - to absolutnie niemożliwe. Oni tu zaraz przyjdą, oni muszą zaprzeczyć. Ja nie chcę, żeby tak było. Przecież ja nie używam tego zbytku. Ja mogłabym wyżyć z tych robótek. Nałóg pracy - to Leon mi powiedział. A, podły! Dwadzieścia siedem lat na niego pracowałam!

GŁOS

A mnie zmusiłaś - tak, zmusiłaś prawie do zbrodni, bo chciałaś żyć w zbytku. Cha, cha - to paradne!

MATKA *odpowiadając, ale jakby sobie*

Nie, nie - nikogo nie zmuszałam - ani jego, ani ich. Ja chciałam, aby Leon zarabiał uczciwie. I on zarabia uczciwie - mój syn. Przecież ja go kocham. Ja jestem z niego dumna. Te jego idee zaczynają się przyjmować, już są jakieś konferencje. Ja byłam niesprawiedliwa. Ja cię przeproszam, Leon, za wszystko. Ja nie chcę, aby tak było - nie chcę, nie chcę!!!
Wchodzi Leon. Matka zakrywa oczy robótką.

LEON

Cóż to? Mama znowu nad tą robótką? Czy mama zwariowała naprawdę? Proszę w tej chwili przestać! Popsuje sobie mama oczy do reszty.

MATKA *spokojnie*

Czekaj, Leoneczku - ja nie chcę nic widzieć. Muszę odpocząć.

LEON

Więc po co mama to robi? Alkohol, morfina i ta przeklęta robótka. Nie - ja byłem dotąd dobry, ale tego już za dużo. Proszę to rzucić i przyrzec mi, że już nigdy więcej tego nie będzie.

MATKA *ciągle z robótką na oczach, aż do odwołania*

Ależ ja żyć nie mogłabym bez pracy. Dwadzieścia siedem lat to robię. Ja się tak przyzwyczaiłam jak do wódki.

LEON

Dosyć. Ani chwili tego nie zniosę. Ja się nie zbliżam, bo pamięta mama, co mi mama powiedziała w ten straszny zaręczynowy wieczorek: że bym nigdy się nie zbliżał, nie dotykał, nie całował. Już drugi rok. Proszę to rzucić natychmiast.

MATKA

Błagam cię, to jedyna moja pociecha.

LEON

A, do diabła starego! Ja mamie daję wszystko; *(innym tonem - słabo i niepewnie)* pracuję na to, aby to było - razem z Zosią pracujemy...

GŁOS

Tak - pracują, ale jak?

LEON

Co, u beri-beri - czy ja mam halucynacje? *(otrząsa się)* Przemęczony jestem - zdawało mi się, że ojciec mój coś do mnie mówił. Przecież go nie znałem.

MATKA

Ach - on też pracował - tak mi mówił...

LEON

Kto, do pioruna!...

MATKA

Twój ojciec. Jesteście zupełnie podobni we wszystkim - zupełnie jak w „Upiorach” Ibsena...

LEON

Może to tylko mama jest taka sama i wywołuje takie same reakcje w ludziach zupełnie do siebie niepodobnych. No dosyć - rzuci mama tę robótkę czy nie?

MATKA

Zaklinam cię...

LEON

A to ja też pokażę, że moja wola musi być wypełniona w tym domu! To nie jest dom utrzymywany z robótek wyssanej przez wampiry matki. *(Wyrywa Matce robótkę, rzuca na*

ziemię, kopie ją i depce. Matka zakryła twarz rękami i siedzi dalej. Tak to zrobiła, że wyrywana robótka prześlizgnęła się jej między twarzą a rękami. Nie widziała przez tę chwilę nic.) Aaa - nareszcie. I żeby mi to było ostatni raz.

MATKA *nie odkrywając oczu*
O, jakże jesteś okrutny...

LEON *z nagłą czułością*
Mateczko! Przecież ja tylko dla twego dobra, (*zbliża się do niej*) Czy można cię pocałować, tak jak dawniej? (*innym tonem*) Ach - ja nie wiem, czy ja mam jeszcze na to prawo? A jednak ciebie jedną tylko kocham naprawdę.

MATKA *ciagle zakryte oczy*
Co ty mówisz? O jakim prawie? Ja też tylko ciebie kocham. Uściskaj mnie. To jakieś okropne nieporozumienie. Ludzie są synami, matkami, ojcami, braćmi i muszą się kochać mimo różnic - m u s z a . Powinni te różnice łagodzić, aby móc wytrzymać ze sobą. Inaczej życie staje się piekłem, jeśli ci, co się muszą kochać - nie z musu tylko, ale z przeznaczenia - nienawidzą się. Chodź, obejmij mnie tak jak dawniej. Mam wrażenie, że jesteśmy znów tam, w naszym dawnym mieszkaniu. Tam byliśmy jednak szczęśliwi.

LEON
Ach, nie mów tak, nie mów tak. Nie staraliśmy się oboje o szczęście na prostej drodze. Tak - robiliśmy oboje wszystko, aby wszystko zepsuć.

MATKA *oczy zakryte*
Nie róbmy już sobie wyrzutów. Wszystko jeszcze będzie dobrze. Jakiś dziwny spokój mam w duszy. Albo wytrzeźwiałam, albo jestem bardzo, bardzo pijana. Wszystko przeszło mi: cały ten obłęd, (*ze strachem*) A może ja już zwariowałam naprawdę? (*Leon obejmuje ją dzikim uściskiem. Pauza.*) Nie - to ty jesteś. Już nie jesteś ten obcy, **inny**. Już nie jesteśmy w tym okropnym miejscu. Ale teraz powiedz mi: mnie to tak potwornie męczy. Ten ojciec Zosi, obrzydliwy cham, naopowiadał mi rzeczy tak strasznych - powiedz mi: tak lub nie. Tylko odpowiedz tym jednym słówkiem - ja ci uwierzę. Wiesz - są jakieś plotki o tobie, o Zosi, o jakichś podejrzanym ludziach, o pieniądzech... (*z niepokojem*) Skąd ten zbytek? Leon, mów! *Leon wstaje. Matka nie odkrywa oczu. Leon walczy ze sobą.*

LEON *twardo*
Nie - to wszystko nędzna potwarz. Nic podobnego, ani ja, ani Zosia.

MATKA *nagle odkrywa oczy, wstaje i rzuca się ku niemu, po czym chwieje się nagle i siada na ziemi*
Co to jest? Ja nic nie widzę. Jakieś koła czerwone. Leon, ja ośleplam zupełnie. Daj mi wódki - szklanekę - czystej, bez wody. Prędko! Tak jestem szczęśliwa - ja nie chcę być ślepa. Kto zarobi na życie? Ja chcę skończyć te roboty... Leon! (*Leon nalewa wódki jak automat. Matka pije duszkiem.*) To nic. to przejdzie - chociaż tak bardzo nie było nigdy, (*pauza*) Och - to nie przechodzi. A więc stało się - będę ślepa. Wszystko jedno. Ale wiem, że to nieprawda - to wszystko. Cokolwiek będzie, jestem szczęśliwa. Już cię nie zobaczę więcej. Ale ty już pracujesz, jesteś **kimś**. (*Leon obejmuje ją.*) Ja jestem bardzo pijana. Jak otrzeźwieję, mogę zwariować, a pić więcej nie mogę. Czy jest w domu brom czy chlorał? Ja nie chcę teraz zwariować.

LEON

Mamo, mamo! To te przeklęte robótki i narkotyki, to morfina z wódką! Czemuż nie miałem dość siły, aby cię od tego wstrzymać?! Sam pomagałem ci w tym, bo nie miałem serca ci odmówić. Boże, Boże - jak wszystko się mści okropnie w tym życiu.

Dzwonek. Komuś otwierają drzwi, jakieś szamotanie się: wpada do salonu Lucyna Beer.

LUCYNA

Leon. Leon! Ja nie mogłam już! Tydzień u mnie nie byłeś. Dowiedziałam się nareszcie, jaki jest twój adres. A - to twoja matka pewnie. Ja ją przeproszę. Ja wyjdę za ciebie za męża. Ja ciebie jednego tylko kocham. Pani, to jest ostatnia, jedyna moja miłość. Ja bez niego żyć nie mogę. Czemu pani siedzi na ziemi?

LEON

Proszę się wynosić. Matka oślepa. W ogóle wszystko przepadło.

MATKA *ciagle siedząc na ziemi*

Co to jest? Kto jest ta pani?

LEON *zimno*

To jest pani Beer, która się we mnie kocha bez wzajemności.

LUCYNA

Bez wzajemności? O nie - przecież ty mnie kochasz, Leon, nie bądź okrutny.

LEON *sugestywnie*

Czyż pani nie widzi, że są ważniejsze rzeczy na świecie, ważniejsze nawet od miłości. Niech pani wyjdzie teraz. Przecież widzi pani, że jest nieszczęście w domu.

Matka wstaje i stoi oparta o krzesło, wyprostowana.

LUCYNA

Nie ma nieszczęścia ze mną. Ja was uratuję oboje. Wam pewno grozi ruina. On musi spełnić swoje przeznaczenie. Jego idee muszą zwyciężyć. Ja wiem, że przyszłam nie w porę, ale wybaczcie mi. Teraz, jak tydzień cię nie widziałam, zrozumiałam, że w tobie jest kres mego życia. Bądźmy razem w nieszczęściu. Nie chciał mi nigdy powiedzieć adresu. Nigdzie nie mogłam się dowiedzieć. Czy się dalej mnie wstydzisz? *(do Matki)* Raz tylko byliśmy razem publicznie, *(do Leona)* Nawet policja nie wie, gdzie mieszkasz. Powiedział mi ten - wiesz? *(do Matki)* Pani Fajkosz, niech pani coś powie - ja wszystko dla was...

MATKA *dziwnie spokojnie*

Ale niech się pani opamięta! Ja się nie nazywam Fajkosz, tylko Węgorzewska, z domu von Obrock przez ck. Mój syn jest żonatym człowiekiem.

LUCYNA

To nieprawda! To jest, co do nazwiska może, ale on nie jest żonaty.

LEON

Niestety, mama ma rację. Nazywam się Węgorzewski - jestem żonaty.

Daje Lucynie sygnał oczami. Potem przypomina sobie coś i szepcze jej do ucha.

LUCYNA

Rozwiedziesz się? Ja w nic teraz nie wierzę. Ty jesteś żonaty? To podłe. *(z ironią)* Nie chciałam tracić i ukrywał to przede mną. *(do Matki)* Pani nie wie, ile on mnie kosztował od roku. On wyłudził ode mnie tysiące. Ja straciłam rachunek. Ale nie chodzi o ilość. Mówił tylko o realizacji idei i o nędzy w domu. A wy sobie wcale dobrze żyjecie - teraz dopiero to widzę, *(rozgląda się)* Ja świata w ogóle nie widziałam poza nim, ja stałam się inna przez niego. A on? Syn pani jest alfons, proszę pani, zwykły alfons. Rozumiesz, jędzo ślepa? Wychowałaś syna na alfonsa. Z tego żyje teraz ten potwór. Tak - możesz się nie rozwodzić! I ja jego kochałam! Boże, co za ohyda. Ileż uczucia, czystego uczucia on mnie kosztował.
Matka stoi nieruchomo, mnąc tylko ręką poręcz od krzesła.

LEON

Proszę wyjść, bo ja nie ręczę dziś za siebie. Rozumie pani? Mnie też dużo uczucia kosztowało to wszystko *(to mówi z ironią)* - a nade wszystko dużo zdrowia. Środki podniecające tak zwaną miłość są szkodliwe, pani Lucyno. Na szczęście nie wpłynęło to źle na moją inteligencję. Może to wyznanie zmusi panią nareszcie do opuszczenia tego domu.

LUCYNA

Co za cynizm. To jest mój dom. Prawnie nie mogę was wyrzucić, ale jesteście złodzieje!

LEON

Pieniądze zostaną pani zwrócone, jak tylko moje idee zaczną mieć powodzenie ogólne.

LUCYNA

Jego idee. Bzdura, w którą nikt rozsądny nie wierzy, bzdura wymyślona przez alfonsa. *Leon rzuca się na nią i chce wyrzucić. Ale we drzwiach (wchodzą bez dzwonka) spotyka się z Zofią, ubraną w czarną balową toaletę. Twarz Zofii jest kolorowa, ale nienormalnie - robi wrażenie **bardzo umalowanej**, nawet z widowni. Za nią dwóch panów w tonach czarnych i białych (twarze y compris), we frakach, rozpiętych futrach fokowych i cylindrach.*

ZOFIA nienormalnie podniecona do ostatecznych granic

A to ta kłepa, u której jesteś na utrzymaniu, przyszła do nas? Dobrze się składa. Ja zażyłam dziś pierwszy raz kokainy. Wszystkie prostytutki to robią. Czemu nie mam i ja? Mówię wszystko, idę, gdzie chcę, pływam ponad życiem, nic mnie nie obchodzi. Jestem ulicznica. Rozumiecie? - Pani Węgorzewska młodsza. A mama oślepla nareszcie od robótki - doskonale - nic nie szkodzi - pieniądze mam - Panowie pozwolą: hrabia de La Tréfoville i pan de Pokorya - Pęcherzewicz. Ten ostatni nie używa tytułu książęcego, mimo że pochodzi od Timur - Chana. Moja teściowa: z domu baronówna von und zu Obrock, mediatyzowana Freifrau z XI wieku, przez ck. Jakże cudownie się czuję, jak lekko, i jak dziwna harmonia panuje we wszechświecie, mimo że wszystko razem jest świństwo! Jakie piękne jest wszystko! Ludzie są jak najcudowniejsze wspomnienia o nich samych, a żyją, są rzeczywiści. *Zastyga w zachwycie, w zupełnej ekstazie. Lucyna siada na krześle przy drzwiach*

LEON

Panowie wybaczą, *(do Zofii)* Daj i mnie kokainy. Może w ten sposób wytrzymam to wszystko, bo mi się już mózg zaczyna przewracać.

ZOFIA

To ci panowie niech ci dadzą. Oni mnie poczęstowali. Nie masz pojęcia, Leon, co za cudowna rzecz. Zupełnie nowe życie zaczęłam.

DE POKORYA *częstując Leona kokainą ze szklanej rurki*
Pan zapewne jest bratem panny Zofii?

LEON *zażywszy dużą dawkę; osypany jest białym proszkiem*
Nie, panie - mężem. A u tej pani jestem na utrzymaniu. Pani Lucyna Beer.

DE LA TRÉFOUILLE
Ach, panie, my lubimy nadzwyczajności.

LEON *pociąga nosem*
Masz rację, Zosiu - to cudowna rzecz, kokaina. Taką mam jasność w mózgu i nic mnie już nie obchodzi. Panowie zostaną na kolacji - nieprawdaż? Mamo, zażyj tego - to nadzwyczajne. Wszystko się zmienia. To nie to, co twoja wstrętna morfina i alkohol.

MATKA
Daj. Ja już mam wrażenie, że jestem w innym świecie. Ja chyba zwariowałam.
Leon sypie jej do nosa kokainę, która mu dał Pokorya.

ZOFIA
No, panowie, rozgoście się jak u siebie. Zaraz się rozporządzę, żeby była kolacja dla wszystkich, *(do Lucyny)* Ty, kłępa, zostajesz także.
Wychodzi na prawo.

DE POKORYA *do Leona*
Bo nie wiem, czy pan wie, że jesteśmy obaj z Trefujem kochankami pańskiej żony.

LEON *pociąga nosem*
To wspaniałe. Ach, jak mi dobrze! Teraz jestem w zupełnej zgodzie ze sobą.

MATKA *siadając; pociąga nosem*
Wiesz, Leon, że ja zupełnie jestem przytomna i wszystko wydaje mi się takie konieczne i nieodwołalne - a nawet piękne. Och - coraz piękniej jest, coraz piękniej...
Zastyga w ekstazie.

LUCYNA *wstaje*
Dajcie i mnie. Mnie dziś spotkało wielkie rozczarowanie życiowe. Jestem złamana. Dotąd nie śmiałam nigdy zażyć.

DE POKORYA *dając jej kokainę*
O, pani, za dwie minuty wszystko przejdzie. Nowy horyzont otworzy się przed panią. Pani Węgorzewska starsza jeszcze lepiej to odczuwa, bo piła przed tym.
Lucyna zażywa, po czym pije wódkę.

LEON
Bo rozumiecie, panowie, że ja mam już prawo zginąć w zupełnie dowolny sposób. Moje życie normalne było męczarnią. Teraz to widzę pod wpływem kokainy. Nie ma tragedii - to jest cudowne. A idee moje, których nie znacie, są już puszczone w ruch. „Les idées-forces”, jak mówił Fouillet czy inny jakiś Guyot. Jak cudownie myślę teraz! Świat się aż zakłębił w lodowatej logice mego systemu.

DE POKORYA

Tak, ale potem przychodzi depresja szalona. Na ile teraz wszystko jest jasne i piękne, na tyle potem - o Boże! jest tak ohydne jak - słów mi brak. My z Trefujem jesteśmy kokainiści umiarkowani - nie poddajemy się temu nałogowo.

DE LA TRÉFOUILLE

No - powiedzmy otwarcie, że to jest lekka blaga, bo nie ma kokainistów nienałogowych. I panu się zdaje, że pan jasno widzi swoje idee. Kokaina nie daje nic nowego prócz ekstazy. Zupełnie bezpłodny narkotyk. Ale dla nas jest to wystarczające.

LUCYNA *pociąga nosem*

Ach, jak dobrze mi jest, jak dobrze...

LEON

O, ja umiarkowany nie będę. Moje życie jest skończone.

Pociąga nosem. W ogóle wszyscy pociągają nosami i znajdują się w ekstazie.

ZOFIA *wchodząc*

Kolacja może być, ale zimna. Niech panowie pozwolą. Wódka i zakąski już są. Proszę wszystkich do sali. Będziemy się bawić jak zwierzęta. Wieczór absolutnej beztroski.

MATKA

Nie ma dramatu - słusznie powiedziałeś, Leoneczku. Jestem zupełnie trzeźwa, ale w innym wymiarze: nie w dół, tylko w górę - ponad alkoholem. To nadzwyczajne. Może kto z panów poda mi rękę. Jestem ślepa.

DE LA TRÉFOUILLE *podając jej rękę; przedtem obaj zrzucili futra i zdjęli cylindry*

Tak, tak, po wódce kokaina daleko lepiej działa. A przy tym jest to o wiele zdrowiej. Cha, cha, cha - to śmieszne.

De Pokorya podaje ramię Zofii. Wszyscy idą do sali na prawo. Leon ostatni. Dzwonek, ktoś otwiera. Wchodzi Murdel - Bęski.

BĘSKI

Panie Leonie, proszę o chwilkę rozmowy.

LEON

A - dobry wieczór, panie Antoni. Niech pan poczeka. Proszę państwa. *(Wszyscy wchodzą do sali. Leon i Bęski stoją tyłem do drzwi od sali. Matka cichutko, po omacku wraca i przysłuchuje się, niewidzialna, ich rozmowie.)* Ależ ma pan odwagę, żeby tu przychodzić. I to bez kokainy.

BĘSKI *czarno-biały, jak wszyscy*

Bez jakiej kokainy? Musiałem zaraz pana znaleźć. Poproszę pana o ten numerek od tego planu mobilizacji. Nie chcą wierzyć, że to prawdziwy dokument. Muszą sobie przypasować. Potem zaraz panu zwrócę.

Leon wyjmuje z pugilaresu mały notatnik, a z notatnika małą karteczkę.

LEON

Proszę pana.

Bęski bierze karteczkę i chowa ją. Leon zapisuje coś w notatniku.

BĘSKI

Dziękuję panu. Wie pan? Ja sam nie wierzyłem. Na tym zarobimy mocno. Rok porządnego życia. He, he.

MATKA *panowie odwracają się ku niej*

Co to za numerek, Leoneczku? Czy to ktoś od twoich spraw handlowych, tak, handlowych?

LEON

Nie, mammo - mówmy otwarcie. Ta cała pani Lucyna to były tylko pieniądze kieszonkowe. Głównym źródłem dochodów naszych jest szpiegostwo wojenne. Jedyne te dwa zajęcia, o których już wiesz, nie wyczerpywały mnie intelektualnie. Po pierwsze: jestem erotomanem bardzo skomplikowanym, a po drugie - lubię rzeczy tajemniczo-niebezpieczne, mimo że czasem mogę być tchórzem. To wpływ kina - o ile mi się zdaje. Nawet ja muszę czasem odpocząć. Numer jest od skradzionych dokumentów wojskowych. Jest to dowód moich zasług, kwit na pieniądze - teraz wiesz wszystko.

BĘSKI

Co pan mówi, panie Leonie? To przecie sprawa bardzo tajna. Czy pan zwariował? Oczy ma pan jakieś dzikie.

LEON

Ależ, panie - to jest moja matka. Osłępła dziś i zwariowała - jest zupełnie bezpieczna. A przy tym ja ją wysłałem jak wampir. Rzecz szalenie zabawna: wysłałem ją przy pomocy robótek włóczkowych.

Matka tężeje w miarę tej rozmowy.

BĘSKI

Co panu jest? Ja się pana boję.

LEON

Ależ nic, mój kochany, panie Antoni. Zażyłem trochę kokainy po raz pierwszy w życiu. No - niech pan już idzie.

Bęski wychodzi, popychany przez Leona, kłaniając się Matce.

MATKA

Tego nawet przy pomocy kokainy wytrzymać nie można. Już umieram. Ostatnie uderzenia serca. Tak prędko mi bije. Już nie wiem, kto jestem. Leon jest szpiegiem!!!

Pada martwa w tył. Leon rzuca się ku niej.

LEON

Mammo, mammo!!! (*bada ją i wstaje*) To nie żadne moralne cierpienia ją zabiły. Nic moralnego nie jest w stanie zabić. Za dużą dawkę kokainy wzięła moja biedna staruszka. (*We drzwi od sali jadalnej cisną się wszyscy i nawet Dorota.*) Moja Doroto, starsza pani umarła. Ostatecznie tak być musiało kiedyś. Ja też nie wiem, kto jestem, moi państwo. Nie - bo matka powiedziała to o sobie przed samą śmiercią. A wy wszyscy czy wiecie, kim jesteście? Nikt nie wie. Nie wiemy nawet, co to znaczy być. Tajemnica Istnienia jest niedocieczona - na tym opieram cały mój system organizacji walki z automatyzmem. Ktoś musiał się poświęcić, aby to wynaleźć. Los padł na mnie. Mogę skończyć jakkolwiek bądź, bo cała ta historia jest już rozpoczęta. Tego stłumić się nie da. Podobno kokaina niszczy pamięć, inteligencję, w ogóle robi z ludzi flaki bez życia. Ale co mnie to może obchodzić?

DOROTA

Co panicz plecie? Trzeba ratować jaśnie panią.

LEON

Ach, prawda, Dorota jedna w naszym towarzystwie nie zażyła kokainy. Zaniesiemy starszą panią na kanapkę - o tak. *(niosą Matkę z Dorotą na kanapkę na lewo)* A teraz chodźmy dalej pić i zażywać ten cudowny środek, pozwalający uniknąć dramatów życiowych albo też odłożyć dramat na czas nieograniczony.

Zapędza towarzystwo do sali i sam tam wchodzi. Dorota klęka przy trupie Matki. Nagle prawa ręka trupa, złożona na piersi, opada na ziemię. Dorota zrywa się z krzykiem. Wszyscy znowu wpadają ze sali z kieliszkami i kanapkami w rękach. Niektórzy żują.

LEON

Co tam znowu się stało?

DOROTA

A bo nic; ręka jaśnie pani spadła i tak się przeleklam!

LEON

No to na drugi raz proszę nas nie straszyć głupstwami. Jaśnie pani nie żyje na pewno i mimo to tak samo nie wie, co znaczy śmierć, jak my nie wiemy, co to jest życie, choć jeszcze żyjemy. W stanie zakokainowania wydaje mi się, że powiedziałem coś bardzo głębokiego. Prawdopodobnie jest to bzdura. Chodźmy stąd.
Zapędza towarzystwo do sali.

GŁOS

Brawo, Leon! Pierwszy raz uznaję w tobie mego syna.

AKT TRZECI EPILOGOWATY

Pokój obity na czarno; nie ma ani drzwi, ani okien. Ścianę wprost widowni stanowi czarna kotara, rozsuwająca się na dwie strony. Na środku sceny (podłoga pokryta czarnym dywanem) czarny sześcioboczny postument, na którym leży umarła Matka, nogami do widowni, z głową wzniesioną dość znacznie i rękami splecionymi na piersiach. Leon we fraku stoi przed postumentem. Po czym trochę przechadzając się zaczyna mówić. Trzyma w rękach jasnobrązową robótkę, tę samą, którą skopał był w II akcie. Jest to jedyny kolor na scenie aż do odwołania.

LEON *do publiczności*

Sytuację obecną proszę uważać za oczywistą. Jest to coś bezpośredniego, jak na przykład kolor czerwony lub dźwięk A, mimo całej oczywiście komplikacji. Niektórzy mogą to uważać za błagę, za sen, za symbol, za diabli wiedzą co. Zostawiam im zupełną swobodę interpretacji, ponieważ gdybym nawet swobody tej im nie pozostawił, wszyscy postąpiliby na pewno tak samo. „Palcem szkła nie przekroisz”, jak mówi stare rosyjskie przysłowie. Ja nawet - mimo tylu nieszczęść - jestem właściwie pogodzony z losem. I nie myślcie, państwo, że znowu zażyłem kokainy, jak w ten pamiętny wieczór, kiedy to umarła moja matka. *(wskazuje ręką na trupa, nie oglądając się)* Kokaina jest dobra na razie, ale potem mści się straszliwie. Przesadziłem dawkę i pod koniec cała rzeczywistość, spotęgowana do ostatnich granic, wypiętrzona aż do pęknięcia, zjeżyła się przeciw mnie i wszystko proporcjonalnie do tego. Jak było piękne, stało się niepojęte i potworne. Byłem w jakimś piekle na innej planecie, sam, jeden jedyny tylko z mego gatunku istot, samotny i straszliwie obcy wszystkiemu, a inni ludzie byli dla mnie - razem ze zmarłą mamą - jakimiś dziwnymi, niepojętymi owadami. Tak - mogę powiedzieć, że byłem w moralnym piekle i nie wiem, na czym polegała ta jego piekielność. Nie, o nie - nie wszystkie sytuacje dadzą się w ten sposób rozwiązać. Nie chcę być moralizatorem, ale nie radzę nikomu zażywać tego świństwa, chyba że nie ma już nic do stracenia. Ja, oczywiście, mógłbym to już uczynić, ale nie chcę z powodów, których nie podam nigdy. Nie mam pojęcia, co jest za tą portierą. Pokój ten, jak twierdzą - o, nie powiem nigdy kto - nie ma ani drzwi, ani okien. Jakim sposobem się tu znalazłem z trupem mojej nieboszczki matki, jest dla mnie samego absolutną tajemnicą. Pamiętam tylko, że ostatniego wieczoru piłem i kokainowałem się na przemian ciągle i ciągle, aż wreszcie: „trach” - i jestem tu. Przy czym mam silny „katzen - jammer” i ból głowy, i to nieznośne zniechęcenie do życia, które jest podobno specyficzną reakcją na kokainę. Zaznaczam jeszcze, że sytuacja jest zupełnie realna, to znaczy, że ja jestem ja, a nie żaden sobowtór, że się nie zabiłem, że czuję się zupełnie zdrowym na umyśle i tak dalej, i tak dalej. Nie analizuję tylko pewnych rzeczy, a w szczególności stosunków czasowo-przestrzennych. Na przykład nie wiem, ile czasu upłynęło od tamtego wieczoru, i wiedzieć nie chcę.

GŁOS

Czy skończysz wreszcie?

LEON

Skończyłem już. *(Klaska w ręce, portiera się rozsuwa i widać całe towarzystwo z poprzednich aktów siedzące na czerwonych krzesłach na tle czarnej ściany, a oprócz tego*

następujące osoby: Ciotka, baronówna von Obrock przez ck. Nieznajoma kobieta o normalnym kolorze twarzy <wszyscy, oprócz podmalowanej Zofii, są czarno-biali>, ubrana w czerwień, zieleń i fiolet - twarz jej, figura i ruchy są uderzająco podobne do tych samych elementów Matki. Oprócz tych osób znajduje się jeszcze Nieznajomy mężczyzna w czarnym stroju marynarkowym.) O - Co za niespodzianka. Całe nasze towarzystwo w pokoju bez drzwi i okien. Przysięgam, że nic o tym nie wiedziałem. Nie liczę tu tej wolnej przestrzeni, która wychodzi wprost na międzygwiazdną otchłań, (wskazuje na widownię) Widzę wielu znajomych - skąd się wzięli? - nie moja rzecz. Ale dziwi mnie obecność osób, których nie znam, i nie wiem, czemu dziwi mnie to właśnie. Kolorowa Osoba z Nieznajomym wstają i podchodzą do niego.

OSOBA

Z pewnością nie poznajesz mnie, Leoneczku, jestem twoją matką w wieku lat dwudziestu trzech - jeszcze przed twoim urodzeniem się. *Ciotka wstaje i podchodzi do nich.*

LEON

Moja matka, kompletnie wyszana przeze mnie, a następnie z własnej jej winy przeze mnie dobita - leży tu nieżywa. Zaraz przejdę do tego tematu...

CIOTKA

Właśnie - ta pani uzurpuje sobie stwarzanie cudów. Fizyczne rozdwojenie osobowości z rzemieszczeniem w czasie - nie, to już za dużo. Jakkolwiek wychowani na Einsteinie, nie możemy tego nie uważać za humbug nawet w sferze eksperymentów myślowych. Są eksperymenty myślowe niedozwolone: są to te, które przeczą zasadniczym prawom Ogólnej Ontologii. A cóż dopiero mówić o rzeczywistości, nawet przyjąwszy wielość rzeczywistości według Leona Chwistka. Bo ta rzeczywistość nie może być zlogizowana bez zarzutu. Jestem siostra zmarłej: baronówna von Obrock, przez ck.

LEON

Ja, który nieomal zlogizowałem socjologię, wiem coś o tym. Ciocia ma zupełną rację.

CIOTKA

Nie potrzebuję potwierdzenia ze strony takich produktów mezaliansu jak ty, to jest jak pan, panie Węgorzewski.

OSOBA

Nie dziwię się zupełnie, że pani tak myśli. Ale że ty, Leon, taki inteligentny chłopiec - właśnie jestem z tobą, to jest: przez ciebie - to nie - jestem w twoim towarzystwie od wewnątrz, w odmiennym stanie.

CIOTKA

Proszę nie robić niestosownych żartów w mojej obecności.

OSOBA *groźnie*

A ja bym radziła uspokoić się, bo pani może okazać się daleko mniej rzeczywistą, niż się to pani wydaje. Czy pani wie, skąd się pani tu wzięła?

CIOTKA *szalenie zmieszana*

Ja nic... Ja tylko chciałam... Nic nie wiem... Ja się boję.

OSOBA

Więc niech pani idzie na swoje miejsce i siedzi cicho, *(do Leona)* Przerażasz mnie, Leoneczku, twoją umysłową tępotą, szczególnie po tej przemowie, którą miałeś z początku i której wysłuchaliśmy za kotarą.

LEON

Właśnie nad tym myślałem. Ja sam zdziwiony byłem ciasnością moich myśli. To wpływ kokainy. O, już nigdy nie wezmę ani szczypty tego paskudztwa. Tak, jest pani matką moją w młodości swej. To jest fakt pierwotny, nie dający się dalej zanalizować. Istnienie jest tak dziwne...

OSOBA

Stop. Masz skłonność do długich przemów, a to nudzi publiczność, a szczególnie te osoby, które nie mają odpowiednich kwalifikacji do zrozumienia twoich myśli. Muszę ci powiedzieć, że idee twoje są genialne - mówię o tych koncepcjach społecznych. Gdyby miały powodzenie wcześniej, wszystko poszłoby inaczej.

LEON

Pociesza mnie mama. A jednak to nic nie zmienia faktu, że tam leży trup mojej matki zabitej przeze mnie.

OSOBA

Dość - chcę ci przedstawić ojca, którego właściwie nie znałeś. Był powieszony, kiedyś ty miał trzy lata. Nie pamiętasz go na pewno. Albert *(wymawia imię to z francuska)* - twój syn, Leon.

NIEZNAJOMY: WOJCIECH (ALBERT) WĘGORZEWSKI

Jesteś kapitalny chłopak, Leon. Lubię cię i zawsze cię lubiłem, kiedyś był jeszcze ciamkaczem. Wiedziałem, że wyjdiesz na ludzi.

LEON

Kiedy właśnie, proszę ojca, fatalnie mi się nie udało. Doprowadziłem matkę do śmierci, a moje idee zbyt są - jak by to powiedzieć bez przesady...

ALBERT *wymawiając z francuska*

No, no - nie udawaj. Jesteś geniusz lepszy od wielu artystów, wynalazców, techników i proroków, i założycieli nowych religii.

LEON

Kiedy mi się nic nie urzeczywistnia, nic się nie...

ALBERT

Właśnie, że nie. Jesteś źle poinformowany. Przejąłem całą twoją skumulowaną od dłuższego czasu korespondencję. Istnieje już u nas ze trzydzieści towarzystw nowej organizacji inteligencji, ale nie w stylu mdło demokratycznym i bydlęcym, tylko zupełnie według twojej broszurki - nie mówię już o zagranicy.

LEON

Tak - to jedyne moje dzieło. Trzydzieści sześć stron.

ALBERT

W tym właśnie cały szyk. Na trzydziestu sześciu stronicach zrobić największą kaszę na świecie, jaka była od czasów rewolucji francuskiej. Masz tu gazety: Urugwaj. Paragwaj, Honduras, Filipiny, Japonia - w ogóle, co chcesz. Jesteś sławnym na cały świat. Nazwisko Węgorzewski zarznęło wszystkie sławy, i to nie przez głupią sztukę i naukę albo zbrodnie, tylko przez rozwiązanie problemu całej ludzkości. To jest wielkie. Leon, jestem z ciebie dumny.

Klepie go. Leon przegląda papiery i listy. Nagle rzuca to wszystko o ziemię i kopie, a spod pachy wydobywa robótkę.

LEON

I to teraz, kiedy matka nie żyje! Nawet tej pociechy mieć nie może. Psiakrew - co za fatalna malszansa. Przecież mogłem dawno umrzeć i nawet ja nie miałbym tego zadowolenia. Świństwo jest wszystko. Wy przynajmniej przemieszczacie się w czasie - ja nie mogę.

OSOBA

Zapominasz, że ja jestem twoją matką. Ja się szalenie cieszę tym wszystkim. Ja ci wszystko przebaczam.

LEON

Tak, ale tam leży trup, który mi nic przebaczyć już nie może. O Boże, Boże. Oto ta robótką, przy której oczy straciła biedaczka. A wszystko co mówiła całe życie, to było tak obliczone - ja wiem: mimo woli - ażebym ja nie mógł przetrzymać jej śmierci. I ja nie mogę. Każde słowo jej sobie przypominam i każde słowo boli mnie tak jak milion tumorów w mózgu i nie wiem, co bym dał w tej chwili: całą sławę, całą dumę z urzeczywistnienia tej mojej koncepcji - dałbym nie wiem co, wszystko jest mało - bylebym mógł cofnąć choć jedno małe złe słóweczko, które powiedziałem, choć jedną myśl drobnitką, którą ją skrzywdziłem. *(placze)*
Wy nie wiecie, co to jest tak potworny wyrzut sumienia. Ja tego nie przeżyję.

OSOBA

Jak nie chcesz mi wierzyć, to nic na to nie pomoże. Na upór nie ma lekarstwa.
Leon idzie do trupa, kładzie mu robótkę w ręce i pada na kolana, łkając.

LEON

Bu-u-uuu-buu-uuu...

OSOBA

Pozwól, Leoneczku, ja ci udowodnię, że ten trup jest fałszywy. To jest tylko manekin. W ogóle cała ta rzecz - my y compris - jest świetnie zaaranżowana, tylko nie wiadomo przez kogo. Ale jest to nic więcej jak czysta forma pewnych wypadków, zastygłych w nieskończoności Istnienia. *Chce poruszyć trupa. Leon zrywa się i mówi jeszcze łkając.*

LEON

Niech mama nie waży się jej dotknąć. To byłoby straszne świętokradztwo. Proszę odejść.
Zostawcie mnie z nią samego.

ALBERT

Zostaw ją, Nina. I jemu też daj spokój. Niech się wypłacze. Popłacz porządnie, mój chłopcze - to ci ulży.

OSOBA

Masz rację, Albert. Może go to uleczy, jak to wszystko po swojemu przeżyje.

LEON z rozpaczą i łzami

I ja nic nie rozumiałem, nic. A z drugiej strony: czy byłbym tym właśnie, gdybym tego wszystkiego nie przeszedł? Musiałem. Niby wybierałem zajęcia płatne takie, przy których mogłem intelektualnie odpoczywać i nabrać sił do dalszych przemyśleń. Ale gdybym się tak zawziął całą siłą woli, to mógłbym i uczciwie pracować, i tamtego dokonać. Dwadzieścia siedem lat utrzymywała mnie z robótek, a potem ja ją dwa lata, robiąc świństwo za świństwem dla odpoczynku. O Boże, Boże, co za straszna kara mnie spotkała. Och, żeby ona była taką jak mama (*wskazuje na Osobę*), wszystko byłoby inaczej.

OSOBA

Nie bądź zbyt wymagający. Ona była stara - a ja jestem młoda. Jeszcze nic nie przeszłam.

LEON

Nieszczęsna moja staruszczyca. Teraz nic jej już nie pomoże. Ach, jaki ja byłem podły, jaki podły.
Płacze.

ALBERT

Ja się trochę na nim zawiodłem. On niby żałuje matki, a w gruncie rzeczy on się roztkliwia sam nad sobą. Stan jest ciężki. Myślałem - sądząc po jego ideach i zachowaniu się tamtego wieczoru - widziałem wszystko przez pewną szparkę - że on jest silny człowiek. A ta marmelada daje się rozsmarować przez jakieś głupie wyrzuty sumienia, kiedy mu się łopata do głowy wkłada i udowadnia, że nie powinien ich mieć. Leon, ostatni raz ci mówię: weź się za łeb, cierp, ale z tego cierpienia zrób, sfabrykuj ordynarnie nową siłę. Leon, no! Głowa do góry. Co było, nie wróci. Jej, tej zmarłej, zrobiłbyś największą przyjemność, gdybyś teraz gwizdnął na to i zaczął wszystko całkiem na nowo.

LEON

Ja wiem - ojciec ma rację. Ale co ja mam zacząć?

ALBERT

Walka cię czeka. Jeszcze wszystko nie jest dokonane. Musisz wykończyć dzieło. Podróże po całym świecie, odczyty, konferencje i organizacja - w ogóle wykonanie. Wielkie dzieło zaczyna się dopiero. Cała ludzkość czeka na to.

LEON

A czy ojciec myśli, że mnie coś obchodzi cała ludzkość? Oddam ją całą za jedną chwilkę życia biednej mamy i za to, żeby te moje świństwa nie były przeze mnie popełnione.

ALBERT

O - stan jest ciężki. Poczekajmy.
Podchodzi do nich stary Plejtus.

PLEJTUS

Aa - kochanego pana Leona. Aa! A mówią, że pan naumyślnie dawał matce pić i morfinował ją, żeby prędzej skończyła. Może to podświadome było - ja nie wiem. Teraz są takie teorie...

LEON *szybko dobywa rewolwer i strzela w Plejtusa*
Nieprawda, głupi chamie! Byłem tylko za dobry dla niej. Wiedziałem, że to była cała jej
pociecha.
Plejtus pada.

ALBERT
Brawo, Leon, zaczynasz dochodzić trochę do równowagi.

LEON
A ojciec mnie do pasji zaczyna doprowadzać. To po ojcu mam te wszystkie piękne
skłonności. Wisielec, psiakrew, brazylijski rzezimieszek i morderca. To przez ojca zostałem
szpiegiem i alfonssem.

ALBERT
Uuu - Leonku, zaczynasz mi się grubo nie podobać. To już jest niedelikatne. To jest trochę w
stylu nieboszczki mamy, zwałać winę na mnie za wszystkie twoje wady. Ale tę wadę to masz
po matce.

LEON
To chamstwo to mam też po ojcu. Jeżeli ojciec jeszcze słowo piśnie, to zastrzelę ojca jak psa.

OSOBA
Daj mu spokój, Albert, on jest szalenie zdenerwowany, a ja jestem w odmiennym stanie i nie
znoszę żadnych awantur w mojej obecności.
Podchodzą do nich Lucyna i Bęski.

BĘSKI
A co do tego szpiegostwa, to niech pan żadnych wyrzutów nie ma. Sprawa się nie wykryła i
końce są w wodzie. Zarobiło się trochę grosza, a szkody dla państwa nijakiej nie ma, bośmy
ich też trochę nabierali. Głupich mieli agentów i tyła. Ich wina.

LEON
Pocziwy Murdel. Wie pan, że pan mnie pocieszył najbardziej.
Klepie go.

LUCYNA
Panie Leonie, ja też do pana nie mam żadnych pretensji. Cierpiałam przez pana wiele.
Nauczył mnie pan, co to jest miłość - ostatnia, prawdziwa. A nade wszystko nauczył mnie pan
tego, że nie należy jej plugawić. A pieniądze zwróci mi pan wszystkie, bo teraz będzie pan
bogaty.

LEON *całując ją w rękę*
Doprawdy nie wiem, jak mam pani dziękować, pani Lucyno. Tak, oczywiście - zwrócę pani
wszystko. Ale to grube sumy. Jakie parę lat będzie to trwało ratami....
Całuje ją jeszcze raz w rękę, a ona jego w głowę. Podchodzi Zofia - za nią kochankowie.

ZOFIA
No - jeśli tak ze wszystkimi się godzisz, to może byś i ze mną się pogodził, Leonku. Możemy
wykluczyć stosunki erotyczne, jak chcesz, aby żyć dalej jak para przyjaciół, związanych jedną
ideą. Ja ci będę dalej pomagać. Ostatecznie wierzysz w moją szczerą co do spraw

intelektualnych, a w tamto sam mnie właściwie wepchnąłeś. A ja cię ani na chwilę nie przestałam kochać.

LEON

No, tak - wepchnąłem cię w to przy pewnych skłonnościach z twojej strony. Bez tego nie dałoby się to przeprowadzić. Dobrze - godzę się z tobą, ale muszę zrobić rachunek z tymi panami. To będzie symbol -symbolicznie w ich osobach zabiję wszystkich innych twoich kochanków. Pewno nie pamiętasz, ilu ich miałaś.

Strzela w de La Tréfouille'a i w de Pokoryę. Panowie walą się na ziemię.

ALBERT *do Osoby*

Wiesz co, Nina? Chodźmy stąd. Bo on jak się rozpędzi, to powystrzela nas tu wszystkich jak kaczki.

DOROTA *podchodząc*

Dobrze to mówić: „Chodźmy stąd” - ale jak? Nie ma drzwi ani okien i nikt - ja się pytałam wszystkich -nikt nie wie, jakeśmy się tu dostali.

Z sufitu, trochę na prawo, zjeżdża ogromna, czarna, lśniąca rura, na jeden metr szeroka, z klamrami, jak komin fabryczny. Otwierają się drzwiczki z tyłu rury i wychodzi stamtąd Cielęciewicz, a za nim sześciu robotników czarno ubranych. Rura zjeżdża wprost na zapadnię i z niej to wylażą tamci.

CIEŁĘCIEWICZ

Dobry wieczór państwu.

ALBERT

Nareszcie mamy komunikację ze światem. Skądęście się tu wzięli, panowie? Jest jakie wyjście?

CIEŁĘCIEWICZ

Ale skąd? My w tej rurze też siedzimy od początku i też nie wiemy, jakeśmy się w nią wpakowali. Jestem dyrektor Cielęciewicz. Tam u góry są aparaty. Bardzo zawiła maszyna, ale cacko, mówię państwu -maszyna do wysysania do reszty trupów nie drossanych przez jedynaków matek. Zaraz bierzemy nieboszczkę panią Węgorzewską starszą na aparat. Tam jeszcze siedzi na górze inżynier i dwudziestu ludzi i też podobno nie wiedzą, jak się tu dostali. Słyszeliśmy ich rozmowy przez ścianę, ale oni nie słyszeli nic, cośmy mówili do nich.

LEON

Nie - to są już niesmaczne żarty, mój panie. To wszystko dobrze, ale nie trzeba przesadzać. Rura unosi się w górę. Robotnicy stają rzędem na prawo.

CIEŁĘCIEWICZ

Masz babo placek! Teraz nie wybrniemy stąd nigdy. Ale trupki już są. Pańska krew, panie Albert (*z francuska*) Węgorzewski. Synek wdał się w papę.

LEON

Masz więc pan w papę za to głupie gadanie, (*wali z taką siłą Cielęciewicza, że ten pada jak długi i leży jak martwy*) - Ach! Po co ja to wszystko robię? Czyż to pomoże choć trochę mojej biednej staruszce? I to bydlę żarty jakieś jeszcze śmiało tu robić! A, kanalia! Boże, Boże! Już nic nie ma przede mną oprócz męki.

OSOBA

A ja mam dosyć tego wszystkiego: tych waszych morderstw, tej całej strzelaniny, tej gadaniny, tej całej blagi, tego mordobicia, tego duchowego mizeractwa, tego całego psychologicznego babrania się w nieświeżych bebechach. Ja chcę żyć. Leon, patrz. To wszystko jest jeden wielki humbug. *(podchodzi do trupa, chwytą go za włosy i wyciąga drewnianą głowę, z przyczepionymi do niej lachmanami wypchanymi słomą)* To nie jest żaden trup, tylko manekin. Głowa jest z drzewa. *(rzuca głowę o ziemię; głuchy stuk drzewa)* A zresztą zrobiona jest przez jakiegoś znanego rzeźbiarza. Mam wrażenie, że to robił albo Zamoyski, albo Archipenko - mimo całego naturalizmu i podobieństwa. A te ręce są gipsowe - jakiś stary odlew ze szkoły przemysłu drzewnego. A reszta - to pakuły. Rozrzuca po ziemi całego trupa: siano, lachmany itd. Zrywa czarną kape, którą to wszystko było przykryte, i rzuca też na ziemię.

LEON *przerażony*

Aa! Aaa! To okropne! Jak ja teraz będę żył? To gorzej, to gorzej - jak ja teraz umrę? Zniszczyliście wszystko. Aaa! Aaa! Aaa!

OSOBA

Chodźmy stąd, Albercie - chodźmy stąd wszyscy. Jeśli on to przetrzyma, będzie silnym. Jeśli nie - niech go diabli wezmą - i tak zrobił swoje. Jego idee są już puszczone i nic ich nie zatrzyma. I to jest blaga, z tym pokojem bez wyjścia. Ręczę, że tu są jakieś drzwi za tymi krzesłami. *(Idzie wprost roztrącając krzesła. Ciotka wstaje. Wszyscy - z wyjątkiem nieruchomych robotników i trupów - idą za Osobą. Ona maca ścianę.)* O - są ukryte drzwi, jest guzik.

Naciska. Drzwi á deux battants roztwierają się. Widać wiosenny pejzaż z górami, zalany słońcem. W pokoju światło przygasa i robi się czerwonawe. Wszyscy wychodzą przez drzwi. Z chwilą wyjścia ostatniego zasłona czarna zasuwą się. Przez cały czas Leon stoi z rękami wczepionymi we włosy i z wylupionymi oczami. Jak tylko zasłona się zasunęła, Leon rzuca się na kolana, zgarnia rozrzucone szczątki manekina Matki i przyciska je do piersi, pełzając na kolanach po podłodze.

LEON

Aaa! Teraz nie mam już nic. Zabrali mi nawet wyrzut sumienia! Zabrali mi moją męczarnię! Nie mam już nic, nic, nic! Tylko te pamiątki nieszczęsne! Aaa!

PRAWOSKRZYDŁOWY W SZEREGU ROBOTNIKÓW

No, a teraz panowie, mały samosąd w imieniu mdłej demokracji. *Rzucają się wszyscy na Leona, odrywają go od szczątków manekina i zaczynają dusić, wlokąc w kierunku zapadni, na którą spuszczała się rura. Tłamszą go tam, zakrywając przed publicznością zupełnie, i wpychają w zapadnię.*

ROBOTNICZY

O tak, o tak, o tak, o tak, o taaaaak!
Podnoszą się i dyszą. Leona nie ma ani śladu. Rura zjeżdża szybko na dół. Robotnicy stoją do jej drzwi w ogonku i zaczynają wchodzić po kolei. Cieleńciewicz trochę się przewraca, nieprzytomnie bełkocąc. Podczas tego kurtyna z wolna zapada.

Kurtyna
13 XII 1924